

26 stycznia 2004 r.

Zdzisław M. Rurarz

PRZYSZŁOŚĆ POLSKI

Słowo wstępne

Po opublikowaniu na łamach "POLONIAN" serii 4-stronicowych tekstów pt. "Kryzys III RP", z których wyszła 169-stronicowa książka, czuję się w obowiązku napisania następnej serii tekstów, aczkolwiek o wiele mniej licznych, które byłyby poświęcone wyjściu Polski z kryzysowej sytuacji.

Przyznam szczerze, że czynię to niechętnie i nie dlatego, że nie mam żadnej koncepcji jak zabrać się do tak ambitnego zadania czy wizji przyszłości Polski, która zresztą może być błędna, ale z obawy, iż moje wywody mogą być uznane za dalekie od optymizmu, tak oczekiwanego przez rzesze Rodaków w kraju.

Myślę jednak, że lepiej mówić gorzką prawdę, niż żonglować różowymi prognozami bez pokrycia. W moim przypadku jest to tym ważniejsze, że zajmowałem się dziesiątki lat temu, w takim czy innym stopniu, długofalowym rozwojem Polski, wówczas zwanej PRL, częściowo pisząc też o tym w swoich artykułach i książkach. Dawniej jednak, ze względów oczywistych, swoje wywody ograniczałem jedynie do spraw czysto gospodarczych, w określonym kontekście ideologiczno-politycznym w dodatku, gdyż było to po prostu wymogiem. Sprawy gospodarcze jednakże, musiały z kolei tchnąć optymizmem, jako że socjalizm był rzekomo nie tylko wolny od kryzysów, ale ponadto miał jakoby z samej swojej istoty zdolność szybszego rozwoju od kapitalizmu (co zresztą dawniej głosiło również wielu zachodnich ekonomistów). Stąd jakieś refleksje, które nie byłyby optymistyczne, wymagały ich prezentacji okrężną drogą.

Mając na przykład wątpliwości odnośnie polskich możliwości gospodarczego doganiania Zachodu, należało pisać o tym nie wprost, ale pośrednio. Tak właśnie uczyniłem w czasach mojego ekonomicznego doradztwa u Gierka, kiedy to opublikowałem w październiku 1972 r., w miesięczniku "Nowe Drogi", organie teoretycznym PZPR, 10-stronicowy artykuł pt. "Przesłanki przyśpieszenia rozwoju kraju". W artykule tym wyszedłem z koncepcją 10-procentowego tempa rozwoju PRL w ciągu 20 lat i nie dlatego, że w nią wierzyłem (gdybym wierzył, to w dwa miesiące później nie odszedłbym z doradztwa u Gierka), ale chciałem w ten sposób pokazać, że tylko przy takim tempie rozwoju istnieje szansa dogonienia Zachodu.

Zresztą, 10-procentowe tempo rozwoju PRL uważałem wówczas za całkiem możliwe, ale tylko w krótkim okresie czasu, kiedy jeszcze istniały do tego warunki. Co więcej, w 1971 r. tempo rozwoju (raczej wzrostu, ale pozostawmy różnice między rozwojem a wzrostem na uboczu) wyniosło 8,1 proc. Istniały też szanse jego dalszego przyspieszenia w najbliższych 3-4 latach (tak zresztą stało się i w latach 1972-1974 tempo rozwoju przekraczało 10 proc., słabnąc dopiero po 1975 r.). Dalsza przyszłość była już jednak bardziej mglista ze względu na wyczerpywanie się płytkich rezerw rozwojowych, jak też niepewny stan koniunktury światowej (kryzys walutowy był wtedy w pełni, a jesienią 1973 r., czego nikt nie mógł wcześniej przewidzieć, doszedł jeszcze kryzys naftowy który wstrząsnął koniunkturą światową).

Ponadto, chciałem swoją ideą “zarazić” kierownictwo partyjno-rządowe (w przypadku Gierka udało mi się to całkowicie), że tylko w przypadku co najmniej 10-procentowe tempo rozwoju PRL może ją w ciągu jednego pokolenia poważnie zbliżyć do rozwiniętego Zachodu. Dotąd nie bardzo zdawało ono sobie z tego sprawy.

Jak wiadomo, nic z tego przyspieszenia rozwoju PRL nie wyszło, a przeciwnie - w drugiej połowie lat 1970-ch nie tylko było ono słabe, ale jeszcze w 1979 r. spadek produkcji wyniósł aż 2,3 proc. i to pomimo rosnącego zadłużenia zewnętrznego. Co zaś było w latach 1980-ch, napisałem o tym pokrótce w “Kryzysie III RP”. Podobnie jak wspominałem o tym co działo się w latach 1990-ch i co dzieje się obecnie.

W odróżnieniu jednak od przeszłości, lat 1960-ch i 1970-ch, kiedy musiałem liczyć się z istniejącymi realiami i swoje refleksje rozwojowe przemyślać na różne sposoby, teraz takich hamulców nie mam i przedstawiam je bez żadnych upiększeń.

Nie ograniczam się też jedynie do spraw czysto gospodarczych, ale przeciwnie - obejmuję wszystkie inne, które składają się na szeroko pojęty rozwój kraju.

Tekst “Przyszłość Polski”, odmiennie od “Kryzysu III RP”, będzie nie tylko krótszy, ale także pozbawiony odsyłaczy do literatury źródłowej. Wynika to stąd, że nieco “wróżbiarski” charakter tekstu nie bardzo nadaje do przeladowywania go odsyłaczami. Zapewniam jednakże Czytelnika, że podawane fakty nie są moim wymysłem.

27 stycznia 2004 r.

1. Od astrologii do futurologii.

“Wiedzieć, żeby przewidywać - przewidywać, żeby zapobiegać (“Savoir pour prévoir, prévoir pour prévenir”).

Auguste Comte

Powyższe słowa dziewiętnastowiecznego filozofa francuskiego, początkowo nie znajdujące większego zainteresowania, dziś robią oszałamiającą karierę. I tak już pozostanie do końca istnienia ludzkości, który, a wiemy to dzięki postępowi wiedzy, a nie tylko różnym wierzeniom, kiedyś nieuchronnie nastąpi.

Tym niemniej, człowiek, choć bezradny w obliczu takiej perspektywy i własnego przemijania, nie poddaje się i walczy o swój i swojego potomstwa doczesny byt. Dzieje się tak dlatego, że poza nielicznymi wyjątkami, ma on aktywny stosunek do życia. Praktycznym zaś skutkiem tego jest to, że nie tylko chce on przewidywać przyszłość, ale także świadomie ją kształtować, aby maksymalnie zaradzić przeciwnościom niezbyt dla niego łaskawego losu.

W sukurs w tym wysiłku przychodzi mu osiągnięta coraz to nowe wyżyny wiedza. Ogiś, próbujący odgadnąć swoją przyszłość człowiek, uciekał się do pomocy magów i wroczni, składał ofiary i zanosił modły, albo z rezygnacją zdawał się na łaskę Siły Wyższej.

W miarę jak spotykał go zawód w tych jego wysiłkach, człowiek zaczął uciekać się do wiedzy i to nie tylko w celu przeniknięcia zagadkowej przyszłości, ale także świadomego jej kształtowania.

Trudno, co prawda, ustalić ściśłą datę “wielkiego przełomu” kiedy dobił się zmiany na tym odcinku, ale chyba tak zaczęło się dziać od utworzenia przez Ludwika XIV w Paryżu w

1666 r. Akademii Nauk, *Académie des Sciences*, która była zwiastunem zaprzęgnięcia nauki do odczytywania przyszłości.

Prawdziwą siłą motoryczną na polu zinstytucjonalizowanego wdrażania wiedzy do praktyki, a tym samym przewidywania i kształtowania przyszłości, stała się armia.

Pierwsze oznaki planowania, przygotowywania, a następnie prowadzenia działań wojennych sięgają daleko w przeszłość (w Polsce lat 1570-ch), ale przełom na tym odcinku nastąpił później. Wiele przyczyniła się do niego Rosja, gdzie początki Sztabu Generalnego sięgają 1763 r., jak też Napoleon. Pionierem były jednakże Prusy, nadając przygotowaniom i prowadzeniu wojny naukowego charakteru. Nie tak bowiem jak to było dotąd, gdzie talent i intuicja dowódców były czynnikiem decydującym, teraz stała się nim fachowa wiedza oficerów w rodzącym się “systemie sztabowym”, z czasem nazwanym Sztabem Generalnym.

Twórcą tej nowej instytucji był gen. Gerhard Johann von Scharnhorst (1755-1813).

Do jej narodzin przyczynił się głównie postęp w szkoleniu oficerów, zapoczątkowany stworzeniem przez Fryderyka Wielkiego w 1763 r. Akademii Wojennej, *Militärakademie*, którą nadzorował Scharnhorst (wówczas jako Główny Kwatermistrz), a od 1804 r. był jej dyrektorem. W 1810 r. przekształcił ją następnie w słynną “Ogólną Szkołę Wojenną”, *Allgemeine Kriegsschule*, w której czołowym wykładowcą był “ojciec strategów wojennych” gen. Karl Marie von Clausewitz (1780-1831).

W międzyczasie, Scharnhorst, w kierowanym przez siebie Głównym Kwatermistrzostwie, szeroko rozwinął prace sztabowe, a ponadto, pełniąc w czasie wojny prusko-francuskiej w latach 1806-1807 funkcję szefa Sztabu przy Głównodowodzącym armii królewskiej oraz będąc jednocześnie ministrem wojny, utworzył Sztab Generalny (początkowo

dwuczęściowy, “wielki” i “polowy”). Oddzielony w 1883 r. od ministerstwa wojny, teraz już niemiecki Sztab Generalny, którego szefem został w 1891 r. generał (później marszałek) Alfred von Schlieffen, zaczął od 1897 r. przygotowywać, na skalę dotąd nieznaną w historii, plan wojny z Francją i Rosją. Ukończony w 1905 r., następnie aktualizowany, “Plan Schlieffena” był unikalny w swojej istocie, podobnie jak wprowadzony w czasie I wojny światowej przez Sztab Generalny “wojenny socjalizm”, *Kriegssozialismus* (faktycznie wojskowe rządy), które odtąd stały się wzorem postępowania dla przyszłych państw totalitarnych. Wzór ten, obejmujący nie tylko sferę wojskową, ale także cywilną, w rzeczywistości zdał egzamin życia, a jeśli nie zakończył się triumfem, to stało się to tylko dzięki wejściu USA do wojny przeciwko Państwom Centralnym w kwietniu 1917 r. W przeciwnym przypadku, Niemcy wyszłyby zwycięsko z I wojny światowej.

Klęska Niemiec nie stała się jednak klęską idei zaprzęgnięcia wiedzy do zorganizowanych działań na wszystkich odcinkach działalności ludzkiej. Przeciwnie, najpierw rosyjscy bolszewicy, a potem komuniści w całym świecie, uznali, że sama idea takiego zaprzęgnięcia jest dobra, a jedynie należy usprawniać jej wykonanie.

Czy mieli rację?

Historia, choć jeszcze niezupełnie do końca, wydaje się rozstrzygnęła ten dylemat. ZSRR bowiem, podobnie jak kierowana przezeń “wspólnota socjalistyczna”, poszły w latach 1989-1991 w rozsypkę i nie wiadomo, czy Chiny i parę innych jak one krajów socjalistycznych, nie podążą w te same ślady.

Co więcej, stało się to nie dlatego, że ZSRR i podobne mu kraje nie miały żadnych sukcesów rozwojowych, gdyż takie były, odcinkowo nawet imponujące, ale dlatego, iż

przesadziły z zaprzęgnięciem wiedzy do codziennej praktyki. Koronnym dowodem tego było rzucone przez Chruszczowa na XXII zjeździe KPZR w październiku 1961 r. hasło budowy komunizmu w ZSRR w ciągu jednego pokolenia i prześcignięcia “po drodze” USA nie tylko w produkcji globalnej, ale także na głowę.

Rzucenie takiego hasła, w kraju gdzie jakoby “naukowy socjalizm” opanował sztukę wdrażania wiedzy do życia, było jedną wielką kompromitacją, co półgębkiem nawet przyznano w kierownictwie KPZR po obaleniu Chruszczowa w 1964 r.

W związku z tym powstaje jednak pytanie, czy porażkę poniosła wiedza czy raczej pseudowiedza? I czy tylko b. ZSRR oraz inne kraje jego pokroju nie umiały odróżnić wiedzy od pseudowiedzy, czy też jest to zjawisko szersze i niekoniecznie ograniczone tylko do krajów totalitarnych, w których obiektywna ocena rzeczywistości jest praktycznie niemożliwa?

Na pytanie to nie można jeszcze w pełni odpowiedzieć, gdyż przykłady pomyłek chruszczowowskiego typu zdarzały się i nadal zdarzają się również tam, krajów demokratycznych nie wyłączając, gdzie wiedza nie jest w służbie ideologii.

Ale czy aby przewidywanie i świadome kształtowanie przyszłości w oparciu o wiedzę, futurologię, nie graniczy z astrologią?

cdn.

2. Kariera i potknięcia futurologii.

Pytanie z końca poprzedniego rozdziału, czy futurologia nie graniczy z astrologią, jest nieco obraźliwe dla futurologii, ale niezupełnie pozbawione podstaw. Nie chodzi nawet o to, że w ZSRR i “wspólnocie socjalistycznej” (ale nie w PRL) futurologię uważano za “niemarksistowską koncepcję przyszłości”, czyli nienaukową, ale o jej praktyczną przydatność.

Futurologia pojawiła się na Zachodzie, wkrótce po II wojnie światowej, najpierw we Francji, a następnie w USA i innych krajach, stając się szybko polem działania licznych naukowców i ekspertów różnych specjalności. Wynikało to głównie stąd, że w świecie, nie mówiąc już o krajach o gospodarce socjalistycznej, zapanowała moda na różnego rodzaju planowanie, programowanie i prognozowanie rozwoju niemal wszystkich dziedzin życia. Dlatego futurologia zaczęła robić zawrotną karierę. Tym niemniej, futurologia, mimo posługiwania się naukowymi metodami badań, nauką nie jest i nie wiadomo, czy kiedykolwiek będzie. Na “futurologicznych odkryciach” nie można bowiem bezkrytycznie polegać, aczkolwiek należy je dokładnie studiować, a nawet w praktyce wykorzystywać dla osiągnięcia odcinkowych celów. Nie tak bowiem jak tzw. plany perspektywiczne, obejmujące okres 15-20 lat, ongiś opracowywane w krajach socjalistycznych (ale nigdy do końca nie opracowane), futurologiczne raporty i inne konkluzje, nie mające mocy wykonawczej, zasługują na baczną uwagę.

Punktem wyjściowym dociekań futurologicznych są bowiem z reguły obserwowane na bieżąco trendy rozwojowe, których linearne przeciągnięcie w przyszłość prowadzi do licznych refleksji. Przy niezliczonej ilości zmiennych jednakże, dociekania na temat kształtu przyszłości, zwłaszcza jeśli wiązałyby się one z szeregiem koniecznych działań zaradczych, czyni wykorzystywanie futurologii do praktycznych celów zadaniem co najmniej złożonym.

Niewykonalność wspomnianego w poprzednim rozdziale chruszczowowskiego zamiaru budowy komunizmu w ZSRR i jego wyjścia na pierwsze miejsce w produkcji światowej, nie można zaliczać do klęski futurologii, ale do ostrzeżenia, że próba świadomego kształtowania przyszłości jest pełna pułapek. Wówczas, co prawda, futurologia w ZSRR, tak jak i na Zachodzie, była jeszcze w powijakach. Co się tyczy jednak ZSRR, choć do tego nigdy nie przyznano się, to przecież w narodzinach chruszczowowskiego pomysłu uczestniczyły setki, jeśli nie tysiące, radzieckich uczonych i ekspertów różnych specjalności. Na XXII zjeździe KPZR zarysowano ponadto wytyczne do 20-letniego planu rozwoju, obejmującego przemysł, budownictwo, transport, rolnictwo, wzrost stopy życiowej, a nawet metody kierowania gospodarką, co nie mogło być tylko dziełem Chruszczowa. Oczywiście, podobnie jak jego poprzednicy, Lenin, a zwłaszcza Stalin, również i on nie stronił do formułowania szczegółowych dyrektyw rozwojowych, ale najprawdopodobniej ktoś mu musiał je podpowiadać, o czym potem wolał zapomnieć.

Nie tylko zresztą ZSRR miał monopol na różne pomysły typu futurologiczno-wykonawczego. Prawie piętnaście lat później w USA, gdzie nigdy nie było centralnie planowanej i zarządzanej gospodarki i gdzie prezydent ma o wiele mniejszą władzę od przywódców b. ZSRR, prezydent Gerald Ford, jak o tym pisze w swoich pamiętnikach, po tym

jak jesienią 1973 r. świat został wstrząśnięty “kryzysem naftowym” (albo “energetycznym”) i kiedy futurologia była już bardziej rozwinięta, nie tak znów bardzo różnił się od Nikity Chruszczowa. Przesłał bowiem do Kongresu w styczniu 1975 r. 167-stronicową propozycję zaradzenia negatywnym skutkom kryzysu drogą długofalowych działań, które Kongres w dużej mierze zaakceptował, uchwalając Energy Policy and Conservation Act of 1975. Tyle tylko, że podobnie jak to było z chruszczowowskim pomysłem, o sprawie wkrótce zapomniano.

Niemniej jednak - należy to powtórzyć jeszcze raz - opinii futurologów, zwłaszcza tych niezależnych, nie działających według dyrektyw władz, należy wysłuchiwać.

Cenne są na przykład ich opinie, jeśli nawet nieco alarmistyczne, na temat granic wzrostu gospodarczego. Wielkie zasługi na tym odcinku położył założony w 1968 r. tzw. Klub Rzymski, złożony ze 100 naukowców i działaczy gospodarczych z różnych krajów. Okresowe raporty Klubu, dotyczące wielu globalnych problemów rozwojowych, zwróciły uwagę świata na szereg bieżących i perspektywicznych niebezpieczeństw, które mogą zagrozić istnieniu ludzkości. Wiekopomnym dziełem w tej dziedzinie, nawet jeśli nieco przesadzonym w ocenie najbliższej przyszłości, był słynny raport czworga autorów z 1972 r. pt. “Granice wzrostu”, “*The Limits of Growth*”, dramatycznie przedstawiający wyczerpywanie się w świecie zasobów paliw mineralnych i surowców, co nie tylko może nie być w stanie zabezpieczyć wzrostu produkcji, ale nawet podtrzymać jej obecny poziom. Inne raporty Klubu (i nie tylko Klubu, ale również wyspecjalizowanych organizacji, w tym przede wszystkim ONZ-owskich) podniosły z kolei problem pogarszającego się środowiska naturalnego, co w nie mniejszym stopniu niż bariery paliwowo-surowcowe może zagrozić istnieniu ludzkości. Jeszcze inne raporty, dotyczące problemów demograficznych, żywnościowych, wody pitnej, zdrowotnych i socjalnych, są o nie

mniejszej wadze. Jeśli nawet bicie na alarm przez “futurologicznych” uczonych i ekspertów nie zawsze sprawdza się, albo może doczekać się odpowiednich reakcji, to jednakże faktem jest, że ludzkość jest dziś bardziej świadoma różnych rozwojowych zagrożeń. Często też, poruszona tym biciem na alarm, podejmuje kroki zaradcze, które, miejscowo przynajmniej, jak w przypadku ochrony środowiska naturalnego, daje widome i pozytywne efekty

Futurologia zatem, jeśli nawet zbliży się kiedyś do miana nauki ścisłej, przyszłości nigdy dokładnie nie przewidzi, a jeśli nawet, to będzie ona szokująca dla człowieka. Nie ma bowiem najmniejszych wątpliwości, że istnienie ludzkości nie jest wieczne, tak jak każdej żywej istoty. A nie jest też wykluczone, że jakieś żywiołowe i kosmiczne katastrofy, nie mówiąc już o całkiem możliwym jej zbiorowym samobójstwie, w dobie broni masowej zagłady, niechybny koniec ludzkości tylko przypieszy.

Przyszłość, mimo wszystko, należy starać się odgadywać, a następnie świadomie kształtować, nawet jeśli jest to niezupełnie możliwe i wcześniej czy później skazane na nieuchronną klęskę. Póki bowiem człowiek żyje - powinien myśleć, działać i starać się kształtować swój byt, żeby był w miarę znośny.

Polska, rzecz jasna, nie może być tutaj wyjątkiem i musi przyjąć aktywną postawę w odczytywaniu i kształtowaniu swojej przyszłości.

Ale, jak o tym pokrótce wspomnę w następnym rozdziale, nie jest to bynajmniej proste zadanie.

cdn.

3. Dzieje futurologii w Polsce.

Mówiąc o dziejach futurologii w Polsce, należy je podzielić na dwa okresy, futurologię w PRL i futurologię w III RP.

Co się tyczy PRL, to teoretycznie przynajmniej, jako w kraju o gospodarce centralnie planowanej, warunki dla rozwoju futurologii były bardziej sprzyjające niż obecnie w III RP. Zwłaszcza że nie tak jak ZSRR, który futurologię uważał za “burżuazyjny wymysł”, w PRL cieszyła się ona zainteresowaniem.

Nie wchodząc w liczne szczegóły, w PRL, gdzie od 1947 r. obowiązywały krótko i średnioterminowe plany rozwoju gospodarczego (od 1971 r. zwane planami rozwoju społeczno-gospodarczego), w drugiej połowie lat 1950-ch zaczęto mówić, a nawet coś czynić w tym kierunku, żeby horyzont rozwojowy kraju wydłużyć poza 5-letni, do conajmniej 15-letniego. Różne jednak “przymiarki” w dziedzinie opracowania planu perspektywicznego, kończyły się jednakże na niczym. Wynikało to głównie stąd, że o ile plan 5-letni, po jego skonsultowaniu z radzieckim Gosplanem, miał przysłowiowe “ręce i nogi”, głównie od strony zabezpieczenia gospodarki w paliwa płynne, gaz ziemny i szereg surowców, to wychodząc poza ten okres takiej pewności już nie było. ZSRR bowiem nie miał perspektywicznych planów rozwojowych, a ponadto w PRL nie istniały warunki dla w pełni suwerennej polityki rozwojowej i stąd skonstruowanie perspektywicznego planu rozwojowego natrafiało na barierę nie do przebycia. Co najwyżej, były odcinkowe plany rozwojowe, jak np. 10-letni program budownictwa mieszkaniowego w latach 1970-ch.

W stopniu znacznie większym niż to było w Komisji Planowania przy Radzie Ministrów, sprawą perspektywicznego rozwoju kraju zajęła się natomiast Polska Akademia Nauk, tworząc w tym celu w 1969 r. Komitet Badań i Prognoz "Polska 2000" PAN.

Działanie tej "futurolologicznej instytucji" (dorywczo brałem udział w jej pracach) było niezwykle pozytywne, gdyż w sposób usystematyzowany i na wysokim poziomie fachowym zaczęto wszechstronnie rozpatrywać szanse perspektywicznego rozwoju Polski. Tak na przykład, wieloletnie tempo wzrostu produkcji w stosunku rocznym, głównie ze względu na barierę energetyczną, energii elektrycznej głównie, wydawało się być możliwe co najwyżej w granicach 7 procent. Nie wykluczano jednak, że dzięki postępowi naukowo-technicznemu, który zmniejszyłby energochłonność gospodarki, tempo rozwoju mogłoby być wyższe.

Ze względów od PAN niezależnych, niestety, Komitet przestał istnieć w 1984 r. i od tej pory w PRL żadnej "zinstytucjonalizowanej futurologii" już nie było.

Mimo wszystko, "peerelowska futurologia" zasługuje na uwagę.

Zarówno w Komisji Planowania jak i w PAN, zaczynano niemal od zera. Z doświadczeń "bratnich krajów" nie można było korzystać, gdyż ich nie było. W ZSRR (formalnie wtedy go jeszcze nie było), z polecenia Lenina opracowano w 1920 r. długofalowy plan elektryfikacji kraju, GOELRO, ale faktycznie pozostał on na papierze. Jego założenia nie były nigdy jasno sprecyzowane, aż raptem w 1931 r. ogłoszono jego wykonanie, nie podając nawet bliższych szczegółów na ten temat. Wspominany zaś 20-letni chruszczowowski zamiar "budowy komunizmu", zakładający 10-procentowe tempo wzrostu, nie tylko był stekiem niedorzeczności, ale w dodatku nigdy nie został szczegółowo opracowany i wkrótce poszedł w zapomnienie.

Pozostawało więc “podpatrywanie” zachodniej futurologii, uprawianej przez niezależne ośrodki badawcze, a następnie ewentualne dopasowywanie jej do peerelowskich realiów. Problem z tym był jednakże taki, że peerelowskie prognozy, jak to już wspominałem w innym miejscu, musiały być obowiązkowo optymistyczne. Tym bardziej, że zachodnie, dotyczące tzw. rozwiniętego świata, były nie tylko z gruntu optymistyczne, ale jeszcze krajom o gospodarce centralnie planowanej wróżyły niezmiennie świetlaną przyszłość! Słynne studium amerykańskiego Hudson Institute z 1967 r., pt. “The Year 2000” (z zarysami do 2020 r.), autorstwa K. Kahna i A. J. Wienera, największe sukcesy rozwojowe wróżyły Japonii, a Polsce z kolei przepowiadały awans do grona krajów gospodarczo rozwiniętych. Podważanie takich prognoz, rzecz jasna, było wtedy niemożliwe, gdyż można było doczekać się łatki “defetysty”.

Zachodnia futurologia ponadto, z licznych względów, nie bardzo dawała się wtedy przełożyć na peerelowskie realia.

Co się zaś tyczy tychże realiów, to punktem wyjściowym dla peerelowskich prognoz było zniwelowanie tzw. efektów demonstracyjnych Zachodu, przejawiających się w średnio 4-krotnie` wyższej stopie życiowej. W przeciwnym przypadku “demontaż socjalizmu” był pewny.

Rozwój kraju w założeniach perspektywicznych należało zatem tak zdynamizować, żeby stało się możliwe bądź zlikwidowanie “luki rozwojowej”, bądź widome jej zmniejszenie.

Jak wiadomo, nic z tego nie wyszło, a w ostatnich latach istnienia PRL zarzucono nawet zamiary gospodarczego doganiania Zachodu.

W III RP, kraju o gospodarce rynkowej, długofalowe prognozowanie jego rozwoju nosi już jakościowo inny charakter niż w PRL. Obecna odmiana “polskiej futurologii” jest jednakże w znacznym stopniu kontynuacją poprzednich doświadczeń. Chodzi tu głównie o ponowne

zaktywizowanie się PAN na tym odcinku w ramach Komitetu Prognoz “Polska 2000 Plus”, który przygotował “Strategię Rozwoju Polski do 2020 r.”. W znacznym stopniu futurologią zajmują się także Rządowe Centrum Studiów Strategicznych, Centrum im. Adama Smitha (aczkolwiek w swoich prognozach nie wychodzi poza okres 10-letni), czy odcinkowo, jak w przypadku demografii, również GUS, Główny Urząd Statystyczny (w tej dziedzinie prognozy mają najdłuższy horyzont czasowy, sięgający 2050 r.).

Co z tych prognoz wynika?

Jeśli chodzi o demograficzne, to przewiduje się, iż ludność Polski w 2050 r. będzie o ok. 4 mln mniej liczna niż obecnie (rzecz jasna, przeciętna wieku Polaka wzrośnie wtedy, zapowiedź dalszego spadku przyrostu naturalnego).

Co się zaś tyczy prognoz gospodarczych, to występują tutaj różne ich warianty. Najbardziej optymistyczny przewiduje, że w 2020 r. dochody Polaka na głowę zrównają się z dochodami Portugalczyka (dziś są niemal 2-krotnie niższe). W wariancie pesymistycznym jednakże, będą one ciągle jeszcze o ok. 1/6 niższe. Niektórzy z polskich futurologów uważają też, że na dogonienie przeciętnego poziomu dochodów Zachodniego Europejczyka potrzeba Polakowi nie mniej niż 30 lat.

Na ile prognozy te są realne?

Prawdę mówiąc, nie można na to pytanie odpowiedzieć w sposób odpowiedzialny.

Ale próbować należy.

cdn.

4. Czy przyszłość można przewidzieć ?

Ustosunkowanie się do niektórych z podanych w poprzednim rozdziale prognoz demograficznych i rozwojowych Polski, należy poprzedzić bardziej ogólnymi refleksjami odnośnie przewidywania przyszłości, zwłaszcza jeśli ma to pociągać za sobą serię różnych, wyprzedzających i kosztownych działań zapobiegawczych.

Przepowiadanie przyszłości, to zajęcie tak stare jak sama ludzkość. Człowiek stara się przecież odgadnąć czekającą go przyszłość i jakoś przygotować się na jej spotkanie. Na ile odgadywał i ile pojawiających się z czasem różnych przepowiedni sprawdziło się, tego nigdy nie będziemy wiedzieć. Z tego jednak co wiadomo większość z nich raczej nie sprawdziła się, a nierzadko działo się dokładnie odwrotnie, niż to przepowiadano. Przykładów na potwierdzenie tego jest wiele i niektóre z nich warto przypomnieć.

W 1936 r. New York Times przepowiadał, że rakieta nie będzie nigdy w stanie opuścić ziemskiej atmosfery. Prezydent Digital Electronic Corporation jeszcze w 1977 r. twierdził, że nie widzi powodów dlaczego człowiek chciałby mieć w domu komputer. Laureat Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki Robert Miliken utrzymywał w 1923 r., iż jest absolutnie niemożliwe, że człowiek kiedykolwiek wyzwoli tkwiącą w atomie energię.

Co się tyczy innych pomysłów prognostycznych, to wśród demografów w latach 1960-ych rozpowszechniony był pogląd, że ludzkość, jeśli nie nastąpi drastyczne ograniczenie przyrostu naturalnego, będzie podwajać się co 35 lat, co mogło oznaczać, że w połowie XXI stulecia osiągnie ilość 16 mld, a przy jego końcu wahałaby się w granicach 50 mld, ilość absolutnie

niewyobrażalna. Obecnie natomiast przeważa pogląd, że od 2050 r. ludzkość, po osiągnięciu 8 mld, zacznie się zmniejszać.

W 1979 r. New York Times przepowiadał, że cena baryłki ropy naftowej już wkrótce osiągnie 100 dol., podczas gdy w 1999 r., licząc według cen stałych, kosztowała tylko 5 dol., czyli 1/20 prognozowanej ceny.

Na koniec, żeby nie zanudzać przykładami rozmijania się przepowiedni z rzeczywistością, w 1903 r. w raporcie U. S. Patent Office znalazła się wzmianka, że wszystko co miało być wymyślone... już wymyślono i że są nieprzekraczalne granice ludzkiej pomysłowości!

Czy wobec tego należy sobie dać spokój z próbami przewidywania przyszłości?

Skądże! Wielkie amerykańskie firmy prywatne, dawniej otwarcie wrogie gospodarce planowej, same miały perspektywiczne plany rozwoju, a jeśli ich nie miały, to było to oznaką zbliżającego się ich bankructwa.

Należy więc próbować przewidywać przyszłość, aczkolwiek trzeba z góry założyć, że przewidywania mogą być chybione. Na początku II wojny światowej w USA zaplanowano produkcję spadochronów w ilości tylko 1/100 późniejszego zapotrzebowania, ale nie oznaczało to, że War Production Board, rządowa instytucja planująca produkcję sprzętu i materiałów wojennych, zaprzestała działalności. Przeciwnie, rozwijała ją nadal, ucząc się na błędach i dostosowując szybko swoje pomyłki do rzeczywistości.

Tym niemniej, naukowcy i inni fachowcy, trudzący się odczytywaniem przyszłości, muszą z góry zakładać margines błędu i problem tylko w tym jak duży może on być. Większość prognoz, jeśli nie wszystkie, musi mieć ponadto charakter wielowariantowy i na ile jest to możliwe być bardziej hipotezą niż wiążącą wytyczną.

Na tym nie koniec. W rzeczywistości bowiem nie margines błędu jest najważniejszy, choć jeśli jest zbyt duży czyni prognozę mało przydatną, ale jej wewnętrzna konstrukcja, czyli ilość i różnorodność poszczególnych części składowych.

Ile ich powinno być i w jakiej kolejności?

Dotychczas rozpowszechniane prognozy ograniczają się naogół do szeroko pojętej sfery gospodarczej i demografii. Wynika to stąd, że występujące w nich trendy są najłatwiej uchwytnie i gdzie dramatyczne ich zmiany wymagają dłuższego okresu czasu. Na prognozy tego rodzaju istnieje też największe zapotrzebowanie i jak pokazuje praktyka wiele ich postulatów oraz zaleceń doczekuje się w tym czy innym stopniu realizacji. Przykładem tego jest podniesiony w przeszłości alarm w odniesieniu do “energetycznej bariery”. W jego wyniku nie tylko podaż nośników energii uległa wzrostowi, ale nade wszystko dramatycznej poprawie uległo ich oszczędne użytkowanie.

Słabą natomiast stroną “produkcyjnej” części prognoz jest faktyczna nieprzewidywalność postępu naukowo-technicznego i to w sytuacji, kiedy wysiłki w tym kierunku mają naogół planowy charakter i gdzie świadomie skierowywane są na określone cele odpowiednie środki materialne oraz fachowe kadry. Wszystko to, niestety, daje tylko co najwyżej połowiczne rezultaty i jest wysoce prawdopodobne, że im bardziej postęp naukowo-techniczny będzie osiągać nowe wyżyny, tym bardziej będzie stawać się mniej przewidywalny.

Inną słabą stroną prognoz gospodarczych jest międzynarodowa wymiana towarów i usług oraz szeroko pojęte przepływy walutowo-dewizowe i kapitałowe. Ilość zmiennych jest tutaj tak duża, choćby ze względu na wahania koniunktury, a ich uzależnienie od czynników

pozaekonomicznych tak ścisła, że praktyczna przydatność prognoz staje się podobna do prognozowania wyników loterii i gier hazardowych.

Co gorsza, prognozy charakteru gospodarczo-demograficznego są naogół oderwane od prognoz rozwoju społecznego tak jak pozbawione jakiegokolwiek wizji rozwoju sytuacji politycznej i wojskowej w poszczególnych krajach oraz w całym świecie. Ten stan rzeczy wynika także stąd, że sfera polityczno-wojskowa w znacznej części jest bądź utajniona, bądź nosi charakter wyraźnie dezinformacyjny. Historyczne doświadczenie wykazuje, że sfera polityczno-wojskowa ma olbrzymi, jeśli nie decydujący wpływ na rozwój dziejów.

Wreszcie, albo raczej przede wszystkim, przewidywanie przyszłości, zwłaszcza jeśli przybiera ono charakter celowego jej kształtowania, wymaga zarówno znacznych środków materialnych i licznych fachowych kadr, ale także pełnej swobody działania. Prognozowanie nie może być dokonywane pod naciskiem chwili, politycznych dyrektyw czy ideologicznej orientacji. W Singapurze, z silnym interwencjonizmem rządowym w gospodarce rynkowej, zdecydowano przed laty położyć nacisk na rozwój badań i produkcji w dziedzinie półprzewodników, w celu opanowania w tym dziale rynku światowego. Kiedy wydawało się, że cel taki jest realny, półprzewodniki zostały zdetrinizowane przez obwody scalone!

Ale co z tych wszystkich futurologicznych “ale” wynika dla przyszłości Polski?

cdn.

5. Od czego zacząć ?

Przewidywanie przyszłości Polski, w połączeniu z perspektywicznym planem działania, mającego na celu odrobienie odziedziczonych zapóźnień rozwojowych i dogonienie krajów rozwiniętych, powinno zacząć się od odpowiedzi na pytanie: dlaczego do tych zapóźnień doszło?

Czy Polska nie umiała się rządzić czy może dlatego, że padała ofiarą żywiołowych katastrof, wojen i obcego panowania?

Zidentyfikowanie przyczyn zapóźnień rozwojowych Polski jest zatem nieodzowne. Właściwa diagnoza polskich schorzeń i niedomagań jest bowiem warunkiem skutecznego ich leczenia i usuwania. W przeciwnym przypadku, prognozowanie rozwoju Polski pod kątem poszukiwania sposobów odrobienia odziedziczonych zapóźnień, minie się z celem.

Zaczynając od tego, czy Polacy umieli się rządzić, najwyższy czas spojrzeć prawdzie w oczy i bez fałszywego wstydu oraz źle pojętej dumy narodowej poddać wnikliwej analizie wszystko, co w przeszłości przeszkadzało w rozwoju kraju.

Nie wchodząc w liczne szczegóły polskich dziejów i ograniczając się jedynie do przykładów najbardziej oczywistych, należy stwierdzić, że bilans osiągnięć i porażek w ciągu ponad tysiąclecia jest w sumie negatywny. Polacy naogół nie słynęli z “państwowego pomysłu”. Nie tak jak ich sąsiedzi, skąpili grosza na obronę granic kraju (nigdy przed rozbiorem armia I Rzeczypospolitej, terytorialnie ponad 3-krotnie większa od III RP, nie przekroczyła liczebnością 60 tys.). Polacy nie wykazywali też większego zainteresowania

sprawami gospodarki i handlu, a w rezultacie tego byli jedynymi w ówczesnym świecie, którzy okładali cłem eksport, import zaś wpuszczając bez cła. Ba, nawet w rolnictwie, gdzie byli aktywniejsi i bardziej pomysłowi, też nie szło im najlepiej. Nauce i oświacie, pomimo że Uniwersytet Jagielloński założyli jako drugi w Europie Centralnej i Wschodniej, też specjalnie nie sprzyjali. Prawne zaś porządki, przy samowoli szlachty i magnaterii, pozostawiały bardzo wiele do życzenia, a o polityce zagranicznej i dyplomacji lepiej już nie mówić (polska dyplomacja nie posługiwała się tajną łącznością, szczycąc się ... brakiem tajemnic!).

“Demokracja szlachecko-magnacka”, przy słabej władzy królewskiej, czyniła więc z Polski kuriozum w świecie absolutyzmu, merkantylizmu i kolonializmu.

Dopiero przy końcu istnienia I Rzeczypospolitej próbowano zmienić istniejący stan rzeczy, ale, przy braku pełnej suwerenności państwa, na zmiany było już za późno.

Pod rozbiorami Polacy nie decydowali o swoich losach, a kiedy odzyskali niepodległość po I wojnie światowej i półniepodległość po II wojnie światowej, z przyczyn aż nadto znanych, wiele nie mogli uczynić.

Dzisiejsze zapóźnienie rozwojowe Polski, mimo wszystko, nie jest głównie wynikiem jej własnych win. Etniczni Polacy bowiem, główne wiązadło I Rzeczypospolitej, będąc nawet u szczytu swojej potęgi, do buntów kozackich w połowie XVII wieku, nie stanowili w niej większości. Jako mniejszość (stanowiąca ok. 40 procent), skoncentrowana na ok. 1/5 rozległego państwa, Polacy byli za mało liczni do utrzymania go w ryzach. Można oczywiście debatować, czy stworzenie państwa “trojga narodów”, złożonego obok Polaków i Litwinów, także z Rusinów, najliczniejszych w I Rzeczypospolitej, zachowałoby jego jedność, zwłaszcza w obliczu “zbierania” przez szybko rosnącą w siłę Rosję ziem rusko-prawosławnych.

Polacy, gwoli historycznej prawdy, dla zintegrowania wielonarodowego i wielowyznaniowego państwa, zwłaszcza w sferze kulturalno-językowej, uczynili wiele, ale z pewnością mogli uczynić jeszcze więcej.

Jakkolwiek nie było, liczą się fakty. Polska, I Rzeczpospolita, zniknęła z mapy świata i to w dodatku tanim kosztem dla zaborców.

Jakie stąd płyną wnioski dla przyszłości Polski? Zwłaszcza że II Rzeczpospolita też upadła, podczas gdy III Rzeczpospolita dziesiątkami lat nie mogła narodzić się, dokąd istniała półsuwerenna PRL (a i teraz nie ma pewności na ile III RP jest w pełni suwerenna).

Płynące z doświadczeń przeszłości lekcje nie zawsze, co prawda, są w pełni przydatne dla postępowania w terażniejszości i przewidywania przyszłości, ale “polskie lekcje” są wyjątkowo pouczające. W geopolitycznym położeniu Polski bowiem, czynniki zewnętrzne są o **decydującym** znaczeniu. Dziś, może w nieco mniejszym stopniu niż w przeszłości, ale niemniej są one bardzo istotne).

Nie sięgając zbyt daleko w przeszłość, losy II Rzeczypospolitej i Polski po 1939 r., zwłaszcza istniejącej w latach 1944-1989 PRL, są tego najlepszym dowodem.

W pierwszym przypadku, II Rzeczpospolita, państwo w pełni niepodległe i suwerenne, żeby było nawet etnicznie i wyznaniowo jednorodne, politycznie zwarte i gospodarczo rozwinięte, w konfrontacji, czy to z Niemcami czy z ZSRR, nie mówiąc już o obu naraz, nie miało **żadnych** szans.

Sojusze zaś, które przed 1939 r. miała II RP, okazały się bezużyteczne w jej wojnie obronnej. A i potem na nic się zdały, kiedy ustalano powojenne porządki w Europie.

Co gorsza, Polacy takiego rozwoju wydarzeń zupełnie nie przewidzieli.

W drugim przypadku, PRL, państwo formalnie niepodległe, ale o ograniczonej suwerenności, było całymi latami zdane na “opiekę” ZSRR. Nie było formalnie, co prawda, jego republiką, ale w każdym momencie “awans” do tego statusu czy do niego zbliżonego, w ramach jakiejś “wspólnoty socjalistycznej”, był całkiem możliwy.

Do tego nie doszło, ale przecież z powodów niezbyt jasnych do dnia dzisiejszego, co powinno Polaków niepokoić. Nie jest przecież absolutnie pewne, czy dawne podporządkowanie Moskwie rządzących elit w Warszawie dobiegło definitywnego końca i czy “urządzenie się” III RP w NATO i Unii Europejskiej jest jej w pełni suwerenną decyzją, jak to się oficjalnie głosi (w rzeczywistości bowiem cała sprawa może wyglądać inaczej).

Refleksje tego rodzaju jednakże w niczym nie zmieniają truizmu - powtórzmy to jeszcze raz - że w sytuacji Polski decydują **zewnętrzne** czynniki.

Jeśli tak, to płyną stąd określone konsekwencje.

Mówiąc konkretnie, na czoło wszystkich spraw wysuwają się bowiem sprawy zewnętrznego **bezpieczeństwa** Polski. Czy zaś jego zagwarantowanie jest możliwe siłami samej Polski czy może musi ona poszukiwać dwustronnych i wielostronnych sojuszków, to już jest sprawą do dyskusji.

Prognozowanie rozwoju Polski zacząć zatem należy od zarysowania jej “modelu zewnętrznego”, głównie polityczno-wojskowego, decydującego wśród wszystkich innych.

cdn.

6. “Model zewnętrzny“ przed narodzinami III RP.

Polska nie ma bogatych doświadczeń układania sobie stosunków zewnętrznych ze światem, a zwłaszcza z najbliższymi sąsiadami. W Polsce przedrozbiorowej, jeśli pominąć takie wydarzenia jak ślub księżniczki Jadwigi z wielkim księciem litewskim, zwanym potem Władysławem Jagiełło, wszystkie inne działania na tym polu, wynikające głównie z elekcji króla, były naogół już nieudane, a po śmierci Jana III Sobieskiego stały się już domeną gry obcych dworów, rosyjskiego w szczególności.

Co się tyczy sojuszów z obcymi monarchiami, to było ich niewiele, nie bardzo też były przydatne do czegokolwiek, a o tym niedoszłym z Prusami przed drugim rozbiorem I RP, szkoda nawet mówić.

Po powstaniu II RP, sojusz z Francją z 19 lutego 1921 r., uzupełniony następnie protokołem z 19 maja 1939 r., jak też z Anglią z 25 sierpnia 1939 r., były politycznie i dyplomatycznie ważne, ale w efekcie nic nie dały. Dziś, co prawda, uważa się te sojusze za wielki triumf dyplomatyczny Polski, jako że Anglia z Francją wypowiedziały Niemcom wojnę, ale prawda jest inna. Działań zaczepnych przeciwko Niemcom sojusznicy Polski przecież nawet nie zaczęli, ani w 1939 r., ani w 1940 r. i gdyby Hitler nie napadł na Danię, Norwegię, Holandię, Belgię i wreszcie na Francję, a potem atakami powietrznymi *Luftwaffe* także na Anglię, to najprawdopodobniej “wojna” angielsko-francuska przeciwko Niemcom zmarłaby wcześniej czy później śmiercią naturalną.

Na szczęście dla tych polskich “sojuszników” (dla Anglii, gdyż Francja po kapitulacji już się wtedy nie liczyła), sprawy potoczyły się całkowicie odmiennie niż mogły się potoczyć, kiedy Niemcy zwarły się w boju z ZSRR. Bynajmniej jednak nie tak, jak sobie to wyobrażali Polacy, formalni sojusznicy Anglii.

Z USA (od kiedy w grudniu 1941 r. weszły do wojny), Polska sojuszu nie miała, jeśli nie liczyć w ramach wielostronnej koalicji Narodów Zjednoczonych. Ale za to miała go z ZSRR, pomiędzy 30 lipca 1941 r., a 25 kwietniem 1943 r., dokąd Stalin, w związku ze “sprawą katyńską”, nie zerwał Układu Sikorski-Majski, będącego czymś *à la* sojuszem polsko-radzieckim. Po raz drugi, tym razem jako już niby prawdziwy sojusz polsko-radziecki, choć w rzeczywistości czyniący Polskę satelitą ZSRR, Rząd Tymczasowy rodzącej się PRL, a nie emigracyjny w Londynie, podpisał go w Moskwie 21 kwietnia 1945 r.

I tylko ten quasi-sojusz liczył się potem dziesiątkami lat. Zresztą, obecnie też nie jest całkiem pewne, czy nie liczy się nadal.

Sojusz polsko-francuski z kolei przestał się liczyć w momencie uznania przez tymczasowy rząd De Gaulle’a w grudniu 1944 r. PKWN, a z Anglią automatycznie wygasł, po tym jak 5 lipca 1945 r. cofnęła uznanie dla rządu emigracyjnego RP w Londynie.

Po powstaniu III RP, w związku ze znanymi wydarzeniami w dotychczasowej “wspólnocie socjalistycznej”, gdzie ukoronowaniem ich był rozpad ZSRR w grudniu 1991 r., co oznaczało również koniec “zimnej wojny” (dokładna data tego końca jest sporna), powstała konieczność stworzenia jakiegoś nowego “modelu zewnętrznego” Polski.

Zanim bowiem rozpadł się ZSRR, od listopada 1989 r. zaczęła ginąć NRD (latami drugi po ZSRR partner handlowy PRL), aby w niecały rok później zginąć całkowicie. A to oznaczało,

iż potężna RFN, członek NATO i EWG (dzisiejszej Unii Europejskiej), stała się raptem zachodnim sąsiadem III RP.

Istniejąca zaś od 1949 r. RWPG, Rada Wzajemnej Pomocy Gospodarczej, *à la* “wspólny rynek” krajów socjalistycznych pod przewodem ZSRR oraz istniejący od 1955 r. UW, Układ Warszawski, obejmujący (również pod przewodem ZSRR) europejskie kraje socjalistyczne, poza wyjątkiem Albanii i Jugosławii, przestały istnieć. RWPG w czerwcu 1991 r., a UW, w dwóch etapach, w marcu-lipcu 1991 r. (formalnie przestał istnieć dopiero 23 grudnia 1992 r. po ratyfikacji przez Rosję jego rozwiązania).

Na dobitkę tego, 25 grudnia 1991 r., rozpadł się jeszcze ZSRR. Przedtem zaszły znane wydarzenia w Czechosłowacji, Bułgarii i Rumunii, co wiązało się z dezaktualizacją dawnych peerelowskich więzów z tymi krajami, a nowych nie było.

Nowopowstała zatem III RP została nagle pozbawiona dwustronnych i wielostronnych więzów polityczno-wojskowych i gospodarczych, istniejących w ramach dawnej “wspólnoty socjalistycznej”. Nie były one normalne, pozostawiając wiele do życzenia, głównie więzy pomiędzy PRL a ZSRR, ale mimo wszystko były to więzy tworzące jakiś określony porządek rzeczy, który w sposób przez nikogo w Polsce nie przewidziany poszedł w rozsypkę.

Siłą rzeczy, aczkolwiek nie można wykluczyć bierności Moskwy po tym względem, która miała w tym swój interes, III RP zaczęła się rozglądać za nowymi dwustronnymi i wielostronnymi porozumieniami, które stworzyłyby nowy “model zewnętrzny” jej powiązań ze światem (kiedy powstawała, istniał przecież jeszcze stary, który w pełni akceptowała)..

Okres poszukiwania tego nowego modelu przez III RP wymaga jeszcze pogłębionych studiów, gdyż szczegóły tego procesu miały tutaj decydujące znaczenie, ale z tego co wiadomo z

całą pewnością, to chętnych na Zachodzie do jakichś pogłębionych stosunków z III RP, zwłaszcza charakteru sojuszniczego, nie było. Zresztą, również ze strony III RP, żadnych inicjatyw w tym kierunku też nie było. Dokąd bowiem wojska rosyjskie stacjonowały w Polsce (opuściły ją ostatecznie dopiero we wrześniu 1993 r.) oraz w Niemczech (opuściły je w sierpniu 1994 r.), sytuacja w tej części Europy była “delikatna” i na żadne nowe sojusze dwustronne nie było miejsca.

Czym innym mógł być ewentualnie sojusz wielostronny w ramach NATO, ale i tutaj nie było jasne jak do tego miałyby dojść w praktyce. Przypomnieć bowiem należy, że to ZSRR, jeszcze w grudniu 1989 r., zaczął raptem “ocieplać” stosunki z NATO, a Węgry (zapewne za podszeptem Moskwy), zaczęły w lutym 1990 r. mówić o wejściu *en bloc* do Sojuszu krajów UW.

Na tym nie koniec. Do NATO, podobnie jak do EWG, dziś Unii Europejskiej, nie można przystąpić bez zaproszenia. EWG zdecydowała się dopiero w czerwcu 1993 r. na otwarcie swoich drzwi krajom Europy Centralnej i Wschodniej, podczas gdy NATO, ustami amerykańskiego prezydenta Clintona, uczyniło to 22 października 1996 r. W pierwszym przypadku, przez drzwi UE, z III RP na czele, przecisnę się 1 maja br. osiem krajów regionu, w jedenaście lat po ich formalnym otwarciu. W drugim, trzy z nich, w tym III RP, przecisnęły się 12 marca 1999 r., w niecałe 2,5 roku po clintonowskim zaproszeniu, ale tylko dzięki zgodzie na to Rosji, która z NATO podpisała tzw. Kartę Paryską 27 maja 1997 r.

Budowa “modelu zewnętrznego” III RP ruszyła zatem. Ale jak pójdzie dalej?

cdn.

9 lutego 2004 r.

7. “Model zewnętrzny” III RP.

Po tym, jak zniknęły RWPG, Układ Warszawski i ZSRR, a tym samym “wspólnota socjalistyczna”, której, jak to niejednokrotnie podkreślano w PRL, Polska była “silnym i trwałym ogniwem”, nowopowstała III RP znalazła się jakby nagle osierocona w świecie.

Dotąd, peerelowskie państwo, ze względu na przynależność do “wspólnoty socjalistycznej”, oznaczającej w praktyce jego podporządkowanie ZSRR, szczególnie w przypadku jego obronności i polityki zagranicznej, było pozbawione licznych dylematów. Nie mając w wielu dziedzinach samodzielności, nierzadko musiało drobiazgowo uzgadniać z Moskwą swoje działania na wewnątrz i na zewnątrz kraju. Rządzenie takim państwem było więc względnie nieskomplikowane, gdyż po prostu wykonywano jej instrukcje i “sugestie”.

Teraz jednakże (choć nie ma pewności na ile tak istotnie było), kiedy III RP była zdana jedynie na własne siły i suwerenne decydowanie o swoich działaniach.

Ale czy zmiana taka musiała koniecznie oznaczać poszukiwania członkostwa w jakiejś nowej “wspólnocie”, zwłaszcza poza systemem ONZ i innych organizacji wielostronnych o zasięgu ogólnoświatowym, w których Polska (bez względu na swoje okresowe nazwy), jak w przypadku Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża, jest członkiem od dziesięcioleci? Z pewnością należało starać się o członkostwo w Radzie Europy, istniejącego od 1949 r. forum. (obecnie liczy 45 członków), do którego dostęp dla PRL, jako kraju niedemokratycznego, był dotąd zamknięty. III RP do tego forum przystąpiła w 1991 r. i było to niewątpliwie rozsądną

decyzją. Należało też pozostać (i tak też III RP uczyniła) w innym forum, aczkolwiek o “zimnowojennym” rodowodzie, a mianowicie w KBWE, Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Powołana do życia w 1975 r. w Helsinkach, na fali postępującego wówczas “détente”, forum to odegrało pożyteczną rolę w zbliżeniu pomiędzy Wschodem i Zachodem. A skoro jego uczestnicy, mimo końca “zimnej wojny”, postanowili go utrzymać (okresowo dochodziło na tym forum do tzw. spotkań na szczycie, w którym uczestniczyli szefowie państw i rządów), to III RP uczyniła słusznie pozostając nadal jego członkiem. Co więcej, powinna nawet kłaść nacisk na podniesienie jego znaczenia, zwłaszcza po tym jak w 1994 r. przekształcono go w OBWE, Organizację Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (aktualnie należy do niej 55 państw, w tym od 1975 r. także USA i Kanada). OBWE może bowiem odegrać wielką rolę nie tylko w Eurazji, jako że w jej skład, poza Rosją, której większa część leży w Azii, wchodzi również b. radzieckie republiki azjatyckie. W rzeczywistości, OBWE, obejmując także Amerykę Północną, tworzy największy w świecie geopolityczny obszar, zwany nieraz “od Vancouver do Władywostoku”.

Dlatego też decyzja III RP tuż po jej narodzinach o przystąpieniu do NATO i EWG (od 1 listopada 1993 r. zwącej się Unią Europejską), aczkolwiek ogólnie zrozumiała, była krokiem, który bardziej podyktowany był emocjonalnymi niż głęboko przemyślanymi względami.

Przede wszystkim, w PRL, a także w ośrodkach polonijnych, wiedza o tych organizacjach była bardzo powierzchowna, podobnie jak o ich krajach członkowskich. O ile jednak o tych ostatnich sporo wiedziano, choćby ze względu na utrzymywanie z nimi stosunków dyplomatycznych, gospodarczych i wielu innych, to z NATO żadnych stosunków PRL nie utrzymywała, a z EWG tylko sporadycznie i pośrednio.

W rezultacie tego, kadr fachowych na tym odcinku PRL nie dorobiła się, a te nieliczne, które coś wiedziały o tych organizacjach, były dalekie od jednolitych poglądów na ich temat. Ponadto, mało kto ich słuchał przy podejmowaniu politycznej decyzji o akcesji do nich.

Nic dziwnego zatem, że Lech Wałęsa, prezydent III RP, paplał potem o “EWG-bis” i “NATO-bis”, wywołując konsternację w organach tych organizacji i stolicach ich krajów członkowskich, które nie wyobrażały sobie, iż tego rodzaju poglądy mogła głosić głowa państwa bez zasięgnięcia opinii fachowców.

W każdym razie - jak to już wspomniano w poprzedniej części - III RP stała się w marcu 1999 r. członkiem NATO, a i 1 maja br. stanie się członkiem Unii Europejskiej.

Jak do tego konkretnie doszło nie ma sensu już szeroko rozwodzić się, ale tym niemniej w telegraficznym skrócie warto przypomnieć niektóre fakty.

Budowa “modelu zewnętrznego” III RP, zapoczątkowana przez rząd Mazowieckiego i będąca domeną działalności głównie ministra spraw zagranicznych Krzysztofa Skubiszewskiego, po tym jak “kontraktowy” Sejm i solidarnościowy Senat zatwierdziły jego kształt, z miejsca ruszyła pełną parą.

Priorytetem w tej budowie była dziedzina stosunków gospodarczo-handlowych, a nawet społeczno-prawnych. Wynikało to stąd, że III RP, diametralnie odmiennie niż to czyniła dotąd PRL, postawiła na wszechstronną współpracę z Europą Zachodnią, głównie z jej integrującą się częścią, z otwartym zamiarem przystąpienia do niej na prawach członkowskich.

Drugim kierunkiem działania była dziedzina wojskowo-polityczna, gdzie III RP niemniej otwarcie stawiała na zbliżenie z NATO i UZE, Unią Zachodnioeuropejską, z perspektywą akcesji do obu tych organizacji.

Realizacja tych zamiarów, o czym częściowo już wspomiano w poprzedniej części, nie była jednakże prostym zadaniem.

W przypadku zbliżania się do EWG, ówczesnej “dwunastki”, III RP już w 1989 r. podpisała z nią umowę handlową, a w 1990 r. nawiązała z nią stosunki dyplomatyczne, w międzyczasie prowadząc negocjacje na temat układu stowarzyszeniowego, które po dwóch latach zakończono pomyślnie 16 grudnia 1991 r. (zakończyły je w tym dniu także Czechosłowacja i Węgry). Układ, po ratyfikacji go przez jego sygnatariuszy, wszedł w życie 1 lutego 1994 r.

Nie dyskutując w tej chwili na ile układ ten był korzystny dla III RP, formalnie otworzył on drogę do jej pełnego członkostwa w powstałej wkrótce potem Unii Europejskiej, co nastąpi - przypomnijmy to jeszcze raz - 1 maja 2004 r.

W drugim przypadku, droga III RP do NATO, o której finale wspomiano już w poprzedniej części, była też długa, choć krótsza od tej do EWG/UE. W grudniu 1991 r. mianowicie, III RP weszła do Północnoatlantyckiej Rady Współpracy, a w kwietniu 1994 r. do natowskiego Partnerstwa dla Pokoju, który, jak to okazało się prawie w pięć lat później, stał się przedsiódką do jej pełnego członkostwa w Sojuszu.

Do UZE wreszcie, jako członek stowarzyszony, III RP przystąpiła w maju 1994 r.

“Model zewnętrzny” III RP został więc zbudowany w ciągu ostatnich niecałych 15 lat.

Co można o nim powiedzieć? Cieszyć się z niego, czy martwić?

cdn.

8. Co naprawdę stało się?

Polacy, kierownictwa PRL nie wyłączając, aczkolwiek wiedziało ono zapewne znacznie więcej od przeciętnego obywatela na co się zanosilo, nie oczekiwali narodzin III RP. Nie oczekiwano ich też w świecie, poza Kremlem, KGB i kierownictwem wojskowym ZSRR.

Co skłoniło radzieckie kierownictwo do przyzwolenia na narodziny III RP, wkrótce powielone w ten czy inny sposób w innych krajach "wspólnoty socjalistycznej", która po zaaranżowanym odgórnie zgonie ZSRR przestała istnieć, nie jest jasne do dnia dzisiejszego.

"Wspólnota" przecież, z ZSRR jako jej centrum, mogła jeszcze bardzo długo istnieć, a gdyby jeszcze poddała się koniecznym reformom, to może nawet stałaby się przykładem rozwiązywania problemów społeczno-gospodarczych dla reszty świata. A że nie byłaby liberalną demokracją, to co z tego? Eksperyment z demokracją w starożytnych Atenach był nieudany i przez ponad dwa tysiące lat było o niej głucho. Od ponad dwustu lat jednakże, demokracja zaczęła powracać na dziejową scenę, ale czy istotnie jej liberalna odmiana stanie się zjawiskiem powszechnym i trwałym w świecie - nie jest bynajmniej pewne. Doświadczenia historyczne bowiem wykazują, że władza autorytarna, jeśli ma nawet tylko 2-2,5 proc. społecznego poparcia i jest zdecydowana w działaniu, to może z powodzeniem istnieć całymi setkami lat. Podobnie system gospodarczy wcale nie musi być typu wolnorynkowego. "Gospodarka rynkowa" jest bowiem szerokim pojęciem, a w czystej wolnokonkurencyjnej formie nie istnieje nigdzie, a więc i w tej dziedzinie nie byłoby tak, że socjalizm był z góry skazany na katastrofę ze względu na nieefektywność swojego systemu społeczno-gospodarczego. Gdyby jeszcze była pewność, że jego zgon wyzwoli raptem stłamszoną dotąd energię twórczą społeczeństw, to co innego. Takiej

pewności jednak nie było. Przeciwnie, jak wkrótce okazało się, zgonowi socjalizmu, zwłaszcza w ZSRR, towarzyszyło załamanie się rozwoju społeczno-gospodarczego i to nie tylko trwającego latami, ale jeszcze nawet tam, gdzie udało się odbić od dna, objawów strukturalnego kryzysu nie udało się przezwyciężyć.

Jakimi więc motywami kierowało się kierownictwo ZSRR, dziesiątkami lat przecież niezachwiane w swojej wierze w triumf socjalizmu w świecie, że postanowiło go raptem porzucić? Jakie też były motywy, prowadzące do rozmontowania “wspólnoty socjalistycznej” i samego ZSRR?

Na te pytania nie ma nadal odpowiedzi. A bez tego przyszłość nie tylko III RP, ale ludzkości w ogóle, jest co najmniej mglista.

Czy nie przesada? Przecież demontaż “wspólnoty socjalistycznej” i ZSRR, jej podstawy, doprowadził do końca “zimnej wojny”, triumfalnego marszu demokracji i gospodarki wolnorynkowej w świecie, a nawet “strategicznego partnerstwa” amerykańsko-rosyjskiego w wojnie z terroryzmem.

No cóż, tak nie jest, a w konsekwencji tego przewidywanie przyszłości staje się zajęciem nie tylko niewdzięcznym, ale wręcz ryzykownym. Wojny światowe, dwie “gorące” i jedna “zimna”, już w ubiegłym stuleciu niepomiarne komplikowały odgadywanie przyszłości, a w bieżącym może być jeszcze gorzej. W dobie broni masowej zagłady zresztą, nuklearnej zwłaszcza, o której eliminacji już nawet nie mówi się, a tymczasem jej proliferacja postępuje nadal, czyniąc przewidywanie przyszłości zajęciem absolutnie jałowym. Jeśli bowiem III “gorąca” wojna światowa, czy choćby tylko poprzedzająca ją II “zimna”, jest w istniejącej sytuacji pewna, to przewidywanie przyszłości i próby jej świadomego kształtowania, czy to w przypadku poszczególnych społeczeństw czy całej ludzkości, mijają się z celem. Jest bowiem

więcej niż wątpliwe, że ludzkość mogłaby przetrwać III wojnę światową, w sytuacji gdzie tylko arsenał broni nuklearnej jest w stanie zniszczyć ją wielokrotnie. Co więcej, nowa “zimna wojna” wyklucza sensowne prognozowanie przyszłości.

Decyzje radzieckiego kierownictwa zatem, w wyniku których nagle narodziła się III RP i rozpadła się “wspólnota socjalistyczna” wraz z ZSRR, nie mogą nie zastanawiać co do ich prawdziwego celu, jeśli formułowanie wizji przyszłości ma mieć jakikolwiek sens. Nie jest przecież obojętne, czy wizja przyszłości będzie zakładać długotrwały pokój, wojnę czy choćby tylko długotrwałe napięcie w stosunkach międzynarodowych.

Co innego bowiem, jeśli radzieckie kierownictwo, świadome narastania wszechstronnego kryzysu “wspólnoty socjalistycznej” i ZSRR, dało sobie spokój z poprawianiem niewydolnego systemu nakazowo-rozdziałczego, zastępując go wolnorynkowym.

Ale co innego jednak, jeśli kierownictwo ZSRR uznało, że nie tylko “pokojowe współzawodnictwo” z Zachodem, głównie USA, nie rokuje szans na zwycięstwo, ale nawet “pokojowe współistnienie” jest niebezpieczną iluzją.

Czy miało powody, żeby tak właśnie myśleć?

Odpowiedź na to pytanie jest o tyle niemożliwa, że do tej pory nie są dostępne źródłowe materiały, na podstawie których możnaby wyrobić sobie pogląd jak naprawdę miały się sprawy w latach 1980-ch, u których końca zaczęły się znane wydarzenia, wśród których narodziny III RP zajmują poczesne miejsce.

Nie wiadomo na przykład, jak ZSRR zamierzał środkami wojskowymi rozegrać trwający od lat konflikt z USA i w ogóle Zachodem (a może nawet i Chinami).

Wiadomo natomiast, aczkolwiek bardzo niewiele, że od połowy 1982 r. USA poważnie myślały o wojnie nuklearnej z ZSRR, czyli w efekcie o III wojnie światowej. Czy powodem tego

były wielkie manewry radzieckich sił zbrojnych w czerwcu 1982 r., nieznane dotąd co do ich zakresu i charakteru, pozorujące między innymi atak nuklearny na USA, czy jeszcze coś innego - nie wiadomo. USA podobnymi manewrami nie odpowiedziały, ale nasiliły przygotowania do wojny z ZSRR, aczkolwiek bliższe szczegóły na ten temat nie są znane.

I oto, w momencie kiedy oba supermocarstwa jakby gotowały się do wojny, Michaił Gorbaczow objął w ZSRR władzę w marcu 1985 r., rozpoczynając “głasnost”, “pierestrojkę” i “nowe myślenie”, w wyniku których doszło do poważnego odprężenia w stosunkach Wschód-Zachód, a na końcu do rozpadu “wspólnoty socjalistycznej”.

Czyżby była to prawda? A może to jakiś “strategiczek obman”, uśpienie czujności przeciwnika i uderzenie go, kiedy niczego nie będzie się spodziewał?

Tego, rzecz jasna, nikt poza Kremlem nie wie.

Ale jeśli istotnie tak jest, że Kreml podstępnie pozbawił USA przeciwnika, udając jeszcze przyjaciela Białego Domu, to na wydarzenia lat 1989-1991, w tym powstanie III RP, z jej reformami systemowymi i budową “modelu zewnętrznego” należy *inaczej* spojrzeć.

cdn.

13 lutego 2004 r.

9. Rola Polski w nowej polityce Kremla.

W czasach istnienia “wspólnoty socjalistycznej”, PRL zajmowała w niej poczesne miejsce, drugie po ZSRR. Fakt ten utwierdzał jej kierownictwo w przekonaniu, że jest ona nieodzowna dla Kremla jako sojusznik., a nawet święcie wierzyło, że ZSRR bez wsparcia Ludowego Wojska Polskiego nie poradziłby sobie w wojnie z NATO w Europie. Sądziło bowiem, że powtórzą się doświadczenia końcowego roku II wojny światowej, kiedy to ZSRR istotnie potrzebował Polaków do wojny z Wehrmachtem. Skoro tak było wtedy - rozumowano - to teraz, na wypadek III wojny światowej, LWP będzie też potrzebne do walki z Bundeswehrą.

Prawda była jednakże inna. Nawet pod koniec II wojny światowej ZSRR potrzebował Polaków w mniejszym stopniu, niż oni sobie to wyobrażali. A kiedy wszedł on w posiadanie broni nuklearnej - nie potrzebował ich w ogóle. Nie tylko ich zresztą, ale nikogo innego ze “wspólnoty socjalistycznej”. Nieradzieckie armie Układu Warszawskiego razem wzięte nie miały bowiem nawet 5 procent siły ognia konwencjonalnego sił zbrojnych ZSRR. Jeśli zaś zważyć, że siły radzieckie miały broń nuklearną, której “bratnie” armie nie miały, to różnica w sile ognia szła dosłownie w miliony razy.

Wiele też poza tym wskazuje na to, choć Moskwa nigdy nie wspominała o tym “bratnim” stolicom, że od “kryzysu kubańskiego”, z jesieni 1962 r., kiedy to bez mała nie doszło do III wojny światowej, zrezygnowała ona z planów (jeśli takie kiedykolwiek były) zdobywania Europy Zachodniej. Było bowiem dla niej jasne, że w przypadku ogólnej wojny nuklearnej nie było to ani potrzebne, ani nawet możliwe. Stąd siły radzieckie w NRD i na jej najbliższym zapleczu wahały się w granicach 0,5 mln, co było siłą niedostateczną dla szybkiego dojścia do Kanału La Manche.

Wojska zaś polskie, węgierskie i czechosłowackie, pozbawione taktycznej broni nuklearnej, były niewiele przydatne.

Moskwa jednak o tym wszystkim Warszawie nie mówiła. Przeciwnie, zachęcała ją do zbrojeń i szkolenia wojsk dla "polskiego frontu" (którego prawdopodobnie nigdy by nie było).

Czy Warszawa, Jaruzelski głównie, domyślała się tego, kiedy raptem Moskwa zaczęła pośpiesznie demontować Układ Warszawski, który chociażby dla zachowania pozorów nie był jej już do niczego potrzebny, jest mało ważne. Moskwa, mając ok. 12 tys. nuklearnych głowic strategicznych i ok. 27 tys. taktycznych (według niektórych szacunków może nawet 40-60 tys.), które każdego mieszkańca globu ziemskiego mogłyby zabić aż 30 razy (amerykańskie dla porównania "tylko" 16 razy), nikogo nie musiała się bać. To jej wszyscy się bali.

Demontując zatem "wspólnotę socjalistyczną" i ZSRR, ale pozostawiając swój gigantyczny arsenał nuklearny nietknięty, Moskwa wiedziała doskonale, że nikt nie pokusi się o próbę skorzystania z tego demontażu.

Nowopowstała Rosja, nawet okrojona utratą czternastu republik b. ZSRR i sześciu europejskich krajów "wspólnoty socjalistycznej", pozostała przecież nadal supermocarstwem wojskowym, a chętnym do skorzystania z takiego demontażu była w stanie dać nauczkę.

Zresztą, takich chętnych nie było. Tylko Niemcy Zachodnie musiały z niego skorzystać, którym "czerwona" Moskwa zdążyła jeszcze, niespodziewanie dla nich i wszystkich innych, weisnąć NRD, ku przerażeniu Anglii i Francji oraz konsternacji USA. Ale to wszystko. Polski, która z PRL zaczęła się przemieniać w III RP, nikt nie chciał brać (nawet, jeśli by mógł). Ba, James Baker, szef dyplomacji USA, zapewnił we wrześniu 1989 r. Eduarda Szewardnadze, ówczesnego szefa dyplomacji ZSRR, że kraj jego nie zaangażuje się "w przebudowę Polski". Inne kraje zachodnie tak tego wyraźnie (choćby pokątnie) nie mówiły, ale było jasne, iż wolały

od rozpadającej się “wspólnoty socjalistycznej” stać z daleka. Co najwyżej, mogły im skreślić część zadłużenia, gdyż po tym jak w marcu 1989 r., kiedy jeszcze o rozpadzie “wspólnoty” nikt nie miał pojęcia, USA zaproponowały o połowę skreślić długi Trzeciego Świata. Można więc było mieć nadzieję, że dotyczyć to będzie również takich krajów jak Polska.

Czyżby zatem ciągle jeszcze “czerwona” Moskwa istotnie cokolwiek traciła, “odpuszczając” Zachodowi, pozornie zresztą, PRL i inne kraje “wspólnoty”?

Patrząc na mapę, tak to mogło wyglądać. W rzeczywistości jednak było inaczej.

Nie obawiała się przecież, kiedy jeszcze wojska radzieckie stacjonowały w III RP i ginącej NRD, a potem przez prawie cztery lata już w zjednoczonych Niemczech, że na jej terytorium wleją się nagle amerykańskie i natowskie wojska. Niechby tylko spróbowały!

Moskwa, teraz już “biała”, nie obawiała się również, że NATO i EWG natychmiast wchłoną jej dotychczasowy stan posiadania w Europie i że zaleją go pomocą gospodarczą do tego stopnia, iż zapanuje tam dobrobyt, który narobi kłopotu w Rosji i innych krajach nowopowstałej WNP.

Moskwa, co więcej, rezygnując z otwartej dominacji nad takimi krajami jak Polska, sporo w efekcie zyskiwała. Odtąd nie musiała bowiem dostarczać im paliw i surowców, które łatwo mogła sprzedać za wolne dewizy i po wyższej cenie, nie musiała brać od nich towarów, które nie należały do najlepszych, ani tym bardziej pomagać im niekiedy, jak to bywało z PRL (nierzadko kredytami wolnodewizowymi). Nowoczesnej zaś technologii, kapitałów i zbóż, które Moskwie było najbardziej potrzebne, “bratnie kraje” nie miały.

Mogą więc sobie iść! Nie za daleko, oczywiście, a zwłaszcza bez jej wiedzy i zgody, ale na razie niech idą, a gdy zajdzie potrzeba, to przecież zawsze będzie można je jakoś zawrócić.

Moskwa zresztą, jeszcze będąc “czerwoną”, miała inny cel w demontażu “wspólnoty socjalistycznej”, a nawet ZSRR. Chodziło jej bowiem o wycofanie swoich wojsk z Europy Centralnej (we Wschodniej już ich od 1957 r. nie było), żeby ułatwić zjednoczenie Niemiec i przekonać Europę Zachodnią, że po rozpadzie ZSRR nic jej ze wschodu nie grozi. Było to niezwykle chytre posunięcie o dalekosiężnych konsekwencjach. Moskwa rozumowała, że w wyniku swoich posunięć z biegiem czasu doprowadzi do rozkładu NATO, jak też podważy proces integracji zachodnioeuropejskiej. Zjednoczone Niemcy nie będą bowiem, tak jak dotąd były Niemcy Zachodnie, silnym ogniwem NATO, a wojska amerykańskie z czasem je opuszczą. W EWG zaś, przestaną się kiedyś mieścić. A jeśli jeszcze zamajaczy im się perspektywa pogłębionych i wszechstronnych stosunków z Rosją, to w Europie powstanie nowy układ sił o daleko idących konsekwencjach. Dwa największe narody Europy, Rosja i Niemcy - co trzeba obiektywnie przyznać - są bardziej naturalnymi kandydatami do stworzenia takiego układu niż jakiegokolwiek inne kraje na Starym Kontynencie.

Jeśli więc w starej polityce “czerwonego” Kremla, Polska, wówczas PRL, liczyła się więcej niż podzielone Niemcy, to w nowej polityce “białego” Kremla liczą się *więcej* zjednoczone Niemcy. Zmiana nie bez znaczenia dla przyszłości III RP.

cdn.

18 lutego 2004 r.

10. Niepotrzebny pośpiech do NATO i EWG/UE.

O tym, jaki III RP wybrała “model zewnętrzny”, już wiemy z cz. VIII. A czy miała jakąkolwiek inną alternatywę wyboru i czy decydując się na wybór czyniła to absolutnie suwerennie i po głębokich namysłach władz oraz konsultacjach ze społeczeństwem?

Co do alternatyw wyboru, to niewątpliwie istniały one pomimo ich ograniczoności.

Po pierwsze, w momencie powstawania III RP, do momentu kiedy nie rozpadły się Układ Warszawski i RWPG, jak też nie rozpadł się ZSRR, z którym PRL miała układ sojuszniczy (raczej podporządkowania), wybór jakiegokolwiek innego “modelu zewnętrznego” nie wchodził w rachubę. Nie chciała tego rodząca się III RP, a nawet gdyby chciała, to pomijając już reakcję ZSRR, nikt na Zachodzie nie chciałby z nią na ten temat nawet rozmawiać.

UW, RWPG i ZSRR rozpadły się jednak, nie roztrząsając już dalej dlaczego, w konsekwencji czego, przynajmniej od strony formalnej, III RP miała teraz swobodę rozglądnięcia się za nowym “modelem zewnętrznym”. Na ile swoboda formalna była swobodą faktyczną, ciągle nie wiemy. Wieloletnie i ścisłe podporządkowanie PRL “wielkiemu bratu” nie zniknęło przecież wraz z rozpadem ZSRR i z pewnością powstała na jego miejscu Rosja zachowała nadal głos decydujący w polskich sprawach. Tyle tylko, że tym razem czyniąc to dyskretnie (co nie znaczy, że mniej skutecznie niż czynił to jej poprzednik).

Po drugie, skoro już pojawiła się raptem szansa rozejrzenia się za nowym “modelem zewnętrznym”, to jest kwestią do dyskusji, czy należało się przerzucać z jednej skrajności w drugą. Wyjście z nagle zmarłych UW i RWPG, nie musiało przecież wcale oznaczać, że teraz

koniecznie należało wstąpić do NATO i EWG/UE. Podobnie koniec sojusznicznych stosunków z Moskwą (jeśli tylko to prawda) wcale nie musiał oznaczać poszukiwań ich z Waszyngtonem czy kimkolwiek innym.

Po trzecie, jeśli nawet władze III RP podjęły w pełni suwerenną decyzję zastąpienia starego “modelu zewnętrznego” nowym, to nadal nie bardzo wiadomo jak konkretnie do tego doszło. Do dnia dzisiejszego nic nie słyhać o tym gdzie, kto i jak toczył na ten temat debaty w łonie władz wykonawczych i ustawodawczych. A już zupełnie władze nie konsultowały się na ten temat ze społeczeństwem. Nie dlatego nawet, że obawiały się one jego negatywnej reakcji na propozycję wejścia III RP do NATO i EWG/UE, ale chyba dlatego, że same władze nie bardzo wiedziały co czynią i stąd wołały nie obnażać się ze swoimi pomysłami przed opinią publiczną.

W konsekwencji tego władze III RP (znowu zakładając ich w pełni suwerenne decyzje), biorąc się za budowę nowego “modelu zewnętrznego”, obrały drogę improwizacji, pobożnych życzeń, a nie głęboko przemyślanych i systematycznych działań, których celem ostatecznym powinien być *maksymalnie* korzystny dla jej interesów narodowych.

Tak na przykład, nic nie było słyhać o tym, żeby ktokolwiek w łonie władzy, wykonawczej i ustawodawczej, zastanawiał się nad neutralnością III RP. Nikogo jakoś nie interesowało dlaczego Szwecja, Irlandia, Szwajcaria, Austria i Finlandia ani myślały (i nadal nie myślą) wchodzić do NATO.

Dlaczego niemal 8-krotnie od Polski mniejsza ludnościowo Finlandia i mająca granicę z Rosją wielokrotnie dłuższą nie boi się jej i do NATO ani myśli wstępować, a Polska musiała? Dlaczego też Norwegia i Szwajcaria nie widziały i nadal nie widzą sensu w członkostwie w EWG/UE, podobnie jak całymi latami nie widziały go także Austria, Dania, Finlandia, Grecja, Hiszpania, Irlandia, Portugalia, Szwecja i Wielka Brytania, a Polska dojrzała go natychmiast?

Wejście III RP do NATO i EWG/UE w sposób radykalny zmieniało, oczywiście, jej “model zewnętrzny” i generalnie było słuszne, ale nie oznaczało to jeszcze, iż pośpiech w tej dziedzinie był wskazany. Nic III RP nie straciłaby, gdyby wejście do nich bardziej wnikliwie przestudiowała, społeczeństwo lepiej poinformowała o wszystkich “za” i “przeciw”, a swoją państwowość odpowiednio przygotowała do wymogów członkostwa w instytucjach, które bynajmniej nie powstawały z myślą o polskich interesach, ale o swoich własnych.

Stało się - jak wiadomo - zupełnie inaczej. Nie ma już co przypominać w szczegółach jak to III RP (wcale do tego nie zachęcana) wystukiwała do drzwi NATO i EWG/UE, ale nie można nie zauważyć, iż więcej było w tym żenującej niewiedzy na temat charakteru i funkcjonowania tych instytucji niż rzetelnej wiedzy ile stąd popłynęły korzyści, a ile wyniosły koszty akcesji do nich, zwłaszcza długookresowe.

Prawdę mówiąc, nie było w tym specjalnie nic dziwnego. W czasach PRL bezpośredni kontakt z NATO nie istniał, a wiedza o nim miała raczej “pokątny charakter” niż wynikający z systematycznych i pogłębionych studiów. Coś i ktoś wiedział o NATO tu i ówdzie, ale ugruntowanej wiedzy o nim nie było nigdzie, albo była nawet błędna.

Nie lepiej, a nawet jeszcze gorzej, było z wiedzą o EWG, późniejszej Unii Europejskiej, choć formalnie utrzymywano z nią kontakty via GATT, a nawet dwustronne w ograniczonym zakresie. Ponieważ jednak EWG (a jeszcze bardziej Unia Europejska) była instytucją niezwykle zbiurokratyzowaną i o rozproszony działalności na wielu odcinkach naraz, to śledzenie za nią “z doskoku” było niemożliwe. A jeśli jeszcze zważyć płynność kadr na tym odcinku, to w PRL ilość specjalistów w tej dziedzinie (podobnie było z NATO) nie przekraczała tuzina.

Dlatego też, kiedy nagle “wybuchła” sprawa akcesji do NATO i EWG/UE (później już tylko UE), to improwizacja goniła za improwizacją. Wyższe czynniki polityczne miały o tych

instytucjach ledwie mgliste pojęcie, a fachowcy, którzy by ich “oświecili” na ten temat, byli nie tylko nieliczni, ale często jeszcze nie było ich pod ręką.

Co gorsza, wyższe czynniki polityczne (zakładając ich suwerenne i prawdziwie szczere intencje) były przeświadczone, że to III RP, zgłaszając chęć akcesji do NATO i EWG/UE, czyni im wielki honor i łaskę. Ona przecież obaliła “wspólnotę socjalistyczną”, a nawet przyczyniła się do rozpadu ZSRR. Powinna więc być za to wynagrodzona. Skoro chce do nich przystąpić, to niech nic o nic nie pyta, ani tym bardziej nie stawia żadnych warunków wstępnych!

Na tym nie koniec. Kiedy okazało się, że na III RP nikt w NATO i EWG/UE nie czeka z otwartymi ramionami, to i wtedy długo nie mogło to dotrzeć do wyobraźni kierowniczych czynników III RP. Zamiast rzeczowej dyskusji co robić w tej sytuacji, zaczęły się dąsy. Rezultat tego był zaś taki, że zaskoczona chłodną reakcją NATO i EWG/UE na stukanie do ich drzwi, III RP znowu nie poddała rzeczowej analizie przyczyny tego zjawiska. Przeciwnie, brnęła nadal po raz obranej linii, licząc na zmianę stanowiska obu ugrupowań.

A szkoda, gdyż skoro już stało się oczywiste, iż “szybka droga” do NATO i EWG/UE nie istnieje, należało jeszcze raz przemyśleć, czy należało pchać się do nich na siłę i czy nie było jakichś innych alternatyw.

cdn.

20 lutego 2004 r.

11. Budowla czy fasada ?

O zbudowaniu nowego “modelu zewnętrznego” przez III RP, radykalnie odmiennego od starego, pisałem już w VII części. Na pozór, choć można tu mieć różne “ale”, model ten w swoim założeniu wydaje się być optymalnie słusznym rozwiązaniem w sytuacji, w jakiej znalazła się przychodząca na świat III RP.

W rzeczywistości jednak sprawa zbudowanego “modelu zewnętrznego” nie może nie budzić różnych refleksji, nie świadczących dobrze o jego architektach i wykonawcach.

Zacznijmy od wysiłków III RP wejścia do NATO, aczkolwiek kalendarzowo były one poprzedzone wysiłkami wejścia do EWG/UE. Tym niemniej, III RP znalazła się w NATO nieco ponad pięć lat wcześniej od wejścia do UE.

Wejście III RP do NATO było najprawdopodobniej niepisany warunkiem wstępnym jej wejścia do UE. Będąc bowiem w przeszłości, jako PRL, pod dominacją radziecką, nowopowstała III RP, w znacznym stopniu kontynuatorka swojej poprzedniczki w dziedzinie struktury władzy, musiała mieć od kogoś jakieś “świadcstwo moralności”, że nadaje się na członka UE.

Świadcstwo takie mogło wydać tylko NATO. Nie było ono potrzebne Szwecji, Irlandii, Austrii czy nawet Finlandii, kiedy jako nieczłonkowie NATO kraje te starały się wejść do UE, ale w przypadku III RP było to konieczne. Tamte kraje nie były przecież nigdy pod obcą dominacją, ani tym bardziej socjalistycznymi, a III RP była.

Pamiętając o tym, przejdźmy teraz do innych aspektów wejścia III RP do NATO.

Historyczne doświadczenie z sojuszami wojskowymi, jakie Polska zawierała w XX stuleciu, wykazywało ich naogół dwustronny charakter (o czym już częściowo wspominałem w

innym miejscu), ale były też sojusze wielostronne. Do takich należała koalicja Narodów Zjednoczonych w czasie II wojny światowej (powstała w styczniu 1942 r.), której członkiem była również Polska. Dodać jednak należy, że zanim Polska do tej koalicji weszła, to najpierw miała od sierpnia 1939 r. dwustronny sojusz z Wielką Brytanią. Następnie, w maju 1955 r., Polska, wówczas PRL, stała się członkiem innego sojuszu wielostronnego, Układu Warszawskiego (nie dyskutując już czym on był naprawdę). Ale i w tym wypadku sojusz ten był poprzedzony dwustronnym sojuszem Polski z ZSRR z kwietnia 1945 r. (znów nie mówiąc cóż to był za sojusz).

Po rozpadzie UW i ZSRR jednak, III RP pozostała raptem “na lodzie”, nie mając ani żadnego sojuszu wielostronnego ani dwustronnego. Podpisana bowiem jeszcze za czasów istnienia ZSRR “Deklaracja o przyjaźni i dobrosąsiedzkiej współpracy” z RFSRR, radziecką republiką rosyjską, żadnym sojuszem nie była i nawet nie mogła być dokąd był w mocy sojusz polsko-radziecki i istniał UW. Podobnie było, choć nie jest to takie pewne, z zawartym przez III RP w Moskwie w maju 1992 r. “Traktatem o przyjaźni i dobrosąsiedzkiej współpracy” z Rosyjską Federacją, następczynią ZSRR. Nie jest pewne dlatego, że w tym czasie rozwiązany 1 lipca 1991 r. Układ Warszawski formalnie istniał jeszcze do 23 grudnia 1992 r., to jest do momentu ratyfikowania decyzji jego rozwiązania przez Moskwę. Ponadto, niezupełnie jest jasne “wygaśnięcie” sojuszu polsko-radzieckiego z kwietnia 1945 r. po rozpadzie ZSRR

Rada Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej, organ w państwie faktycznie dziś najważniejszy, w swojej uchwale z 23 kwietnia 1993 r., co więcej, stwierdziła wyraźnie, iż Europa Wschodnia (w Moskwie pod tym określeniem rozumie się także Europę Środkową), znajduje się w strefie “historycznego zainteresowania” Rosji, z której ona nie da się wypchnąć.

Czy w rezultacie tej uchwały, czy z jakichś innych powodów, 7 lipca 1993 r. w Moskwie, ministrowie obrony III RP Janusz Onyszkiewicz i Rosji gen. Paweł Graczow podpisali 5-letnie “porozumienie o współpracy wojskowej” pomiędzy obu krajami. Nie jest do dziś jasne co to jest za porozumienie (nigdy nie było opublikowane i dane do wglądu Sejmowi), podobnie jak porozumienia zawarte pomiędzy Sztabami Generalnymi obu krajów. Z komunikatu prasowego można tylko domniemywać, iż lipcowe porozumienie było jakby przedłużeniem sojuszu polsko-radzieckiego, jako że wspomina o “atmosferze zaufania i wspólnych działaniach na rzecz pokoju i bezpieczeństwa w Europie Środkowej i Wschodniej oraz regionie bałtyckim”. Porozumienie, bez rozgłosu, przedłużono następnie na dalsze pięciolecie, a 24 kwietnia 2003 r. (w kilka dni po podpisaniu przez III RP porozumienia z USA o zakupie 48 samolotów F-16), w Moskwie podpisano jakieś nowe i wielce tajemnicze polsko-rosyjskie porozumienie wojskowe. Siergiej Iwanow, rosyjski minister obrony, wypowiedział się o nim w superlatywach, dodając jednocześnie, że otwiera ono “nowy” etap w stosunkach pomiędzy obu krajami.

A jeśli do tego dodać, że samolot wojskowy z krajów NATO potrzebuje co najmniej trzech tygodni na uzyskanie zgody Warszawy na wlot do strefy powietrznej III RP oraz że nie zezwala ona na dostęp do archiwów, dotyczących stosunków PRL z krajami b. Układu Warszawskiego, to refleksji jest coraz więcej.

Jak bowiem w praktyce wygląda najważniejsza część, polityczno-obronna, zbudowanego przez III RP “modelu zewnętrznego”?

W świetle powyższych faktów polskie starania o członkostwo w NATO, uwięczone w końcu powodzeniem, aczkolwiek dopiero po uprzedniej zgodzie Rosji na jego rozszerzenie się na wschód (co znalazło swój wyraz w Karcie Paryskiej z maja 1997 r. o wzajemnych stosunkach NATO-Rosja), wydają się co najmniej podejrzane. Nie jest przecież wykluczone, że III RP

podjęła wysiłki wejścia do NATO na polecenie Moskwy, która miała w tym swój własny cel, sobie tylko znany.

Gdyby istotnie tak było, to “model zewnętrzny” III RP *nie jest* żadną budowlą, a jedynie fasadą. I faktu tego *nie zmieni* wejście Polski 1 maja br. do Unii Europejskiej.

Zakładając jednakże pełną suwerenność III RP, należy zapytać, a co powinna była ona zrobić, żeby budowa jej “modelu zewnętrznego” była wiarogodna?

Mówiąc najkrócej, III RP miała tylko *jedną* alternatywę - sojusz z USA.

Niestety, USA nie były takim sojuszem zainteresowane, zdając sobie doskonale sprawę z istniejących realiów w tej części Europy.

Również III RP, z tych i innych powodów czy choćby tylko z “nieczystych intencji”, nie wykazywała żadnego zainteresowania w poszukiwaniu sojuszu z USA. Co najwyżej (choć i to zapewne nie było jej suwerenną decyzją), podjęła starania o wejście do NATO, co *nie równało się* jednakże dwustronnemu sojuszowi z USA.

Powstaje więc hipotetyczne pytanie, a co byłoby, gdyby III RP budowę “modelu zewnętrznego” zaczęła właśnie od sojuszu z USA?

cdn.

22 lutego 2004 r.

12. Nie Jankes po Iwanie.

Niespodziewane uzyskanie pełnej suwerenności przez III RP (jeśli tylko istotnie jest to prawdą), nastąpiło z woli wtedy jeszcze “czerwonej” Moskwy, choć niewątpliwie w jakimś stopniu przyczynili się do tego także Polacy. Niekoniecznie jednak “Solidarność”, ale organizowana dziesiątkami lat przez Moskwę “tajna pajęczyna”, która oplotła Polskę do tego stopnia, że mogła objąć nad nią rządy o *każdym* zabarwieniu. Mając taką “pajęczynę”, Moskwa, najpierw jeszcze “czerwona”, a potem “biała”, mogła więc spokojnie zrezygnować z dawnych metod dominowania nad Polską (podobnie jak nad innymi krajami “wspólnoty socjalistycznej”, z wyjątkiem NRD, gdzie z dominacji zrezygnowała) i przejść do nowych, bardziej dyskretnych, co nie znaczy, że mniej skutecznych.

Czy Zachód, głównie NATO, a USA w szczególności, domyślały się prawdziwego sensu wydarzeń w środkowo-wschodniej części Europy w 1989 r.?

Z oficjalnych reakcji Zachodu wynika, że wziął je po prostu za dobrą monetę. Z drugiej strony jednakże nie może nie zastanawiać wspomniana w cz. IX rozmowa pomiędzy szefami dyplomacji USA i ZSRR z września 1989 r., a więc w momencie ewidentnego już rodzenia się III RP. Szef dyplomacji USA zapewnił wtedy swojego radzieckiego rozmówcę, iż jego kraj nie zaangażuje się w przebudowę Polski.

Dlaczego tak powiedział? Wykazywał brak zainteresowania tym regionem Europy, czy może dawał do zrozumienia, iż USA godzą się z faktem dominacji nad nim przez Moskwę?

Moskwa z kolei ze swej strony, w miarę jak rozwój wydarzeń toczył się dalej w tym regionie Europy (o czym częściowo była już mowa w poprzednich częściach “Przyszłości

Polski”), dopilnowała takiego ich biegu, aby nie pozostawić wątpliwości, iż zachowuje ona w nim nadal decydujący głos. Na spotkaniu moskiewskim 12 września 1990 r. bowiem, czterech okupacyjnych mocarstw w Niemczech i dwóch państw niemieckich, gdzie dyskutowano ostateczny kształt zjednoczonych Niemiec, ZSRR postawił szereg warunków. Zgodził się na wstąpienie zjednoczonych Niemiec do NATO, ale zobowiązać się one miały do nie stacjonowania obcych wojsk i Bundeswehry, wyposażonej w broń ofensywną, na wschód od Odry. W ten sposób, mimo formalnego przesunięcia się granicy NATO na wschód, faktycznie pozostawała ona niezmieniona. A ponieważ w tym czasie już formalnie w pełni suwerenne Polska, Czechosłowacja i Węgry ciągle jeszcze były członkami Układu Warszawskiego, nie mówiąc o stacjonowaniu na ich terytorium wojsk radzieckich, więc o dalszym marszu NATO na wschód nie mogło być mowy.

NATO zresztą do połowy 1993 r., USA w szczególności, które grały w nim pierwsze skrzypce, nie tylko nie miało zamiaru rozszerzać się na wschód, ale jeszcze słowem nie odpowiadało na coraz głośniejsze pukanie do jego drzwi przez III RP, Czechosłowację i Węgry.

Powyższa sytuacja - jak wiadomo - uległa potem zmianie i NATO, za zgodą Moskwy oraz w miarę jak ustanawiała z nim stosunki partnerskie, jeśli nie quasi-sojusznicze (Rosja nie wykazuje zainteresowania członkostwem w Sojuszu), zaczęło rozszerzać się na wschód.

W ekspansji NATO na wschód uderza jednak wyjątkowa ostrożność USA, aczkolwiek formalnie one są jej promotorem.

Czym to wytłumaczyć? Czyżby USA nie orientowały się, że w sytuacji istnienia rosyjskiej “tajnej pajęczyny” w środkowo-wschodniej Europie formalne jej członkostwo w NATO nie spowoduje jej zniknięcia?

Na pytanie to, w oparciu o oficjalne wypowiedzi amerykańskie, nie można dać odpowiedzi. Wiadomo tylko, że USA *nigdy* nie zaproponowały dwustronnego sojuszu żadnemu krajowi tego regionu, tak jak żaden z tych krajów nie zaproponował go USA.

A jest to zasadnicza sprawa, gdyż *jedynie* dwustronny sojusz USA z poszczególnymi krajami regionu może rozmontować oplatającą go rosyjską “tajną pajęczynę”. Sojusz wielostronny, jak ten w ramach NATO, mimo uczestnictwa w nim USA, nie jest w stanie tego dokonać, a w każdym razie nie tak szybko.

Czyżby USA o tym nie wiedziały?

Na pytanie to można odpowiedzieć innym pytaniem, a *co* mogą na to poradzić? W ramach sojuszniczych zobowiązań w NATO, USA, nawet gdyby stwierdziły zamach ze strony Rosji na pełną suwerenność III RP (zakładając jej istnienie), a nawet jej niepodległość, to w myśl Art. 5 Traktatu o Sojuszu *nie muszą* one natychmiast, jeśli w ogóle, reagować zbrojnie. W przypadku zaś sojuszu dwustronnego, reakcja zbrojna USA byłaby *bardziej* prawdopodobna, zwłaszcza w sytuacji stacjonowania ich wojsk na poddanym agresji terytorium.

Rzecz jasna, w sytuacji takiej czy innej bierności USA na wypadek takiego czy innego aktu agresji Rosji przeciwko III RP, członkowi NATO, bierność pozostałych jego członków jest więcej niż oczywista. Po takim natowskim “sojuszniku” jak Islandia, która nawet nie ma sił zbrojnych czy Luksemburg, gdzie są one mikroskopijne, nie ma się czego spodziewać. W obronie III RP nie ruszyłyby także Niemcy, nie mające broni nuklearnej, nie mówiąc już o innych krajach natowskich podobnie jej pozbawionych. Jest też wysoce wątpliwe, że ruszyłyby Francja, która od 1966 r. nie jest nawet w tzw. wojskowej strukturze NATO czy Wielka Brytania. od 1966 r. w tzw. wojskowej strukturze NATO. Ich potencjały nuklearne są bowiem równe rosyjskiemu tylko w 2

procentach, a ponadto oba te państwa wyraźnie zastrzegają się, iż mogą być one użyte jedynie do obrony własnej, a nie kogokolwiek innego.

W tych okolicznościach, wojskowo-polityczna część zbudowanego przez III RP “modelu zewnętrznego” jest tak naprawdę, jak to już nazwano w poprzedniej części, jego co najwyżej fasadą, za którą faktycznie *nic* nie kryje się. Nie jest też wykluczone, że Moskwa może kiedyś, przy dyskretnej współpracy władz III RP, potwierdzić to jakimś aktem agresji przeciwko niej, na który NATO, z USA na czele nie zareagują w obawie o własne bezpieczeństwo.

Jankes - innymi słowy - nie zastąpił w III RP formalnie nieobecnego, ale nadal tam dyskretnie tkwiącego Iwana. Wątpliwe też, że będzie usiłował to uczynić w przyszłości.

Konsekwencje tego stanu rzeczy są jednakże daleko idące, odciskając swoje piętno również na innej części “modelu zewnętrznego” III RP, gospodarczo-handlowej, społecznej, politycznej, a nawet kulturalnej, czyli jej członkostwie w Unii Europejskiej, które już za kilka tygodni stanie się formalnie faktem.

Formalnie, gdyż z faktycznie sprawa nie jest wcale taka oczywista.

cdn.

24 lutego 2004 r.

13. Jeśli nie Jankeś, to tym bardziej nie Hans, Pierre i Jack.

Skoro USA nie pokusiły się o wzięcie III RP pod swoją opiekę, nie wchodząc w to, czy nie chciały czy nie mogły tego uczynić, to tym bardziej było nierealne, że uczynią to jednoczące się Niemcy, zdezorientowana wydarzeniami we “wspólnocie socjalistycznej” Francja, zawieszona nadal pomiędzy Europą a Ameryką Północną Wielka Brytania, nie mówiąc już o Włoszech i Hiszpanii, którym było wszystko jedno co się działo daleko na wschód od nich. O reszcie zaś krajów EWG, przeistaczającej się w Unię Europejską, nie ma nawet co mówić.

Z jednoczącymi się Niemcami, którym raptem przypomniało się, że z ich granicą wschodnią nie wszystko jest definitywnie załatwione, co w III RP, a nawet we Francji, Wielkiej Brytanii i USA wywołało niemałe zaniepokojenie, dokąd Gorbaczow nie powiedział Kohlowi w lipcu 1990 r. na spotkaniu w Stawropolu, żeby o jakiegokolwiek rewizji granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej lepiej zapomniał, o sojuszu dwustronnym nie mogło być mowy. Żadnych tradycji polsko-niemieckich sojuszów zresztą nie było.

Ponadto, nikt w Bonn nie postradał przecież zmysłów, żeby o czymś takim nawet myśleć.

Przeciwnie, w “tezach” kanclerza Kohla z 30 listopada 1989 r., po tym jak raptem zaświtała w Bonn nadzieja na zjednoczenie Niemiec, nie było ani jednego słowa o tym, że zjednoczone chciałyby pozostać nadal członkiem NATO, co niezwykle zaniepokoiło Paryż, Londyn i Waszyngton.

W sytuacji więc, kiedy Bonn przemyślało jak pozbyć się wielostronnego sojuszu w NATO, niewątpliwie o antyradzieckim ostrzu, to jak mogłoby nawet pomyśleć o jakimś dwustronnym sojuszu z III RP o identycznym ostrzu? Przecież III RP była jeszcze nadal w

Układzie Warszawskim, a na jej terytorium, podobnie jak w jednoczących się Niemczech, były ciągle wojska radzieckie wyposażone w broń nuklearną, której Bundeswehra nie miała i konstytucyjnie nawet nie mogła jej mieć.

Francja z kolei, której zmiany zachodzące w rozpadającej się “wspólnocie socjalistycznej” wcale nie były na rękę, głównie ze względu na perspektywę zjednoczenia Niemiec, również o żadnym dwustronnym sojuszu z III RP nie myślała. Nie mając nawet 1/50 radzieckiego potencjału nuklearnego, nie byłaby przecież w stanie jej udzielić jej pomocy w potrzebie. Nawet Niemcom Zachodnim (podobnie jak dziś zjednoczonym), z którymi miała stosunki o wiele bardziej ściśle i serdeczne niż III RP, też nigdy nie oferowała wziąć je pod swój “nuklaerny parasol”, a co dopiero mówić o jakoś dziwnie rodzącym się nowym państwie polskim, o którym nie bardzo wiedziała co myśleć.

Wielka Brytania wreszcie, nadstawiała ucha co mówią USA, a ponieważ nic godnego uwagi nie mówiły, że wezmą się za promowanie III RP do miana swojego sojusznika, więc i ona nie bardzo miała o czym mówić,

A może głos w sprawie ewentualnego sojuszu dwustronnego z III RP powinna była zabrać EWG?

Skądże! Niezależnie od faktu, że ówczesna EWG, już wkrótce Unia Europejska, żadnym sojuszem wojskowym i wspólnotą polityczną wtedy nie była (i nadal nie jest), miała przecież swoje problemy na porządku dziennym, a nie zawracanie sobie głowy III RP i podobnymi jej krajami.

Przede wszystkim, stojąc w obliczu przeistoczenia się EWG w UE i ewentualnego powiększenia się jej z “Dwunastki” w “Piętnastkę” (stało się to 1 stycznia 1995 r. po tym jak do UE przystąpiły Austria, Finlandia i Szwecja), ugrupowanie miało odwróconą uwagę w innym

kierunku. Jak to już było wspomniane w innym miejscu, szczyt kopenhaski EWG w czerwcu 1993 r., coś tam obiecał III RP i innym krajom b. "wspólnoty socjalistycznej" że przyjmie je kiedyś w swoje szeregi, ale to było wszystko.

Obietnice te - dodajmy - były prawdopodobnie pochodną zachodzącej zmiany w stanowisku USA odnośnie ewentualnego rozszerzenia się NATO na wschód, które zaczęło się ujawniać w tym samym czasie. Zmiana stanowiska USA mogła być sygnałem dla EWG, że i ona może odtąd pomyśleć o tym samym.

Ale to wszystko. Akcesja do EWG/UE zresztą, żadną gwarancją zewnętrznego bezpieczeństwa III RP być nie mogła i nie wiadomo, czy kiedykolwiek będzie.

Czy w tej sytuacji, nadal zakładając, że III RP, budując swój nowy "model zewnętrzny" naprawdę szczerze szukała innej od tej w przeszłości gwarancji swojego bezpieczeństwa, wyężyła wszystkie swoje siły, żeby nie przeoczyć możliwych alternatyw? A może niczego nawet nie przeoczyła, ale nie mogła czy nie chciała ich wykorzystać?

III RP nie bronię, ale prawda była taka, że nawet gdyby w pełni suwerennie zabiegała o *skuteczne* sojusze z Zachodem jako całością czy niektórymi jego krajami (czego zresztą nie czyniła), to szanse na ich zawarcie były żadne. Sojusz wielostronny w ramach NATO, którego w końcu dobiła się (za zgodą Rosji), do skutecznych sojuszków przecież *nie należy* i nie dlatego, że III RP czegoś nie dopatrzyła. USA, liczące się w NATO najbardziej, w okresie "zimnej wojny", prawdopodobnie stanęłyby w obronie jego członków, a nawet takich krajów neutralnych jak Szwecja, Austria, Finlandia i Szwajcaria, jako że uważały je za kraje "zachodniej cywilizacji".

Czy natomiast dziś, gdyby niebezpieczeństwo agresji ze wschodu powróciło, a jej ofiarą padły takie kraje członkowskie NATO jak III RP, niezbyt kojarzące się w USA i gdzieindziej na Zachodzie z "zachodnią cywilizacją", to wątpliwe jest, iż stanęłyby w ich obronie. A jeśli jeszcze

agresja nie byłaby wtargnięciem sił rosyjskich na terytorium III RP, tylko nastąpiłby wyraźnie prorosyjski zamach stanu, to kto wie, czy jej sojusznicy z NATO nie przyjęliby tego faktu z ulgą.

Nieprawda? Niestety, prawda. I nie od dziś.

W liście Cartera do Breżniewa z 3 grudnia 1980 r. - przypomnijmy - w którym ostrzegał go przed interwencją zbrojną w PRL, w związku z istniejącą wówczas sytuacją po powstaniu "Solidarności", znalazło się jednak zdanie, iż USA krokiem tym *"nie zamierzają zagrozić uzasadnionym interesom bezpieczeństwa ZSRR w tym regionie"*.

Tak było wtedy. A czy dziś jest inaczej? USA przecież słowem nie skomentowały wspomnianej w cz. XI decyzji rosyjskiej Rady Bezpieczeństwa z 23 kwietnia 1993 r. o "strefie historycznego zainteresowania" Moskwy w Europie Wschodniej. Nie skomentowały też (i nikt inny w NATO) szeregu innych rosyjskich oświadczeń w tym samym duchu. Czy nie słyszy się ich dlatego, żeby potem nie ustosunkowywać się do nich?

A zatem, jeśli bezpieczeństwo wojskowe III RP jest *nadal* sprawą otwartą, mimo jej członkostwa w NATO, gdyż na głównych jego mocarstwach za bardzo nie można polegać, to jak mają się wszystkie inne części składowe wzniesionego przez nią "modelu zewnętrznego"?

cdn.

8 lutego 2004 r.

14. Bez “dobrych wujków”.

Zbudowany przez III RP “model zewnętrzny”, albo raczej tylko jego fasada - jak to określono w cz. XI “Przyszłości Polski”, niezależnie od nie rozwiązania problemu wojskowego i politycznego bezpieczeństwa kraju, był nie mniej chybionym przedsięwzięciem w odniesieniu do jego ekonomicznego bezpieczeństwa.

Poprzedniczka III RP, PRL, mimo przechwałek o swoim jakoby 10-tym miejscu w świecie w dziedzinie produkcji przemysłowej, w rzeczywistości była krajem co najwyżej średniorozwiniętym. Dalszy jego awans, co gorsza, wymagał wielu drastycznych zmian w dotychczasowej polityce rozwojowej, które jednakże były limitowane odziedziczonymi realiami. Wysiłek inwestycyjny na przykład, dotąd znaczny jak na polskie możliwości, wymagał kontynuowania, a jedynie jego kierunki musiały ulec zmianie. Należało go też bardziej niż dotąd podbudować nowoczesną techniką i technologią dla zmodernizowania całkiem już okazałego majątku trwałego. Celem modernizacji majątku trwałego musiał być dramatyczny wzrost jego wydajności i to nie tylko drogą nasycenia go nowoczesną techniką, ale także lepszą organizacją pracy. Pokrewnym celem była też pilna konieczność zmniejszenia materiałochłonności i energochłonności produkcji.

W przeciwnym przypadku, awans PRL do grupy krajów rozwiniętych, nawet w ciągu 1-2 pokoleń, był wykluczony.

Czy PRL, gdyby nie zniknęła w końcu 1989 r., poradziłaby sobie z tym wyzwaniem?

Najprawdopodobniej nie i to pomimo rosnącego zadłużenia zewnętrznego (głównie wolnodewizowego), które w znacznej części było efektem prób zmodernizowania majątku trwałego. Dokonanie tego bowiem tylko własnymi siłami wewnętrznymi było niemożliwe.

Obejmując zatem schedę po PRL, III RP znalazła się już na początku swojego istnienia w niezwykle złożonej sytuacji. Pomijając już jak do tego doszło, jej dług zewnętrzny w 1991 r. przekroczył 48 mld dol. i choć w połowie został on umorzony, to jednakże pozostał nadal zbyt wysoki jak na polskie siły, nie mówiąc już o tym, że wkrótce znów zaczął się szybko zwiększać. Zwiększałby się zresztą jeszcze szybciej, gdyby nie głęboki spadek produkcji, importu, zatrudnienia i stopy życiowej w efekcie wprowadzonego w 1990 r. “planu Balcerowicza”.

Od 1993 r., co prawda, III RP zaczęła wychodzić “z dołka”, ale w tempie daleko poniżej oczekiwań, a ponadto tempo jej rozwoju zaczęło szybko wygasać i na początku XXI stulecia graniczyć niemal ze stagnacją gospodarczą.

Przyczyny tego są ogólnie znane i stąd nie ma sensu powtarzać rzeczy znanych. Nie sposób jednak nie wskazać na główną przyczynę tej sytuacji, w jakiej znajduje się niemal już 15-letnia III RP i to pomimo pewnego ożywienia koniunktury w ciągu ostatnich miesięcy,

Główną przyczyną trwającego już latami obecnego stanu rzeczy, niezależnie od jej własnych win, jest *brak* pomocnej ręki z zewnątrz, przysłowiowych “dobrych wujków”.

Podchodząc do sprawy realnie, takimi “wujkami” na przełomie lat 1980/1990 mogłyby być USA, Japonia, jednoczące się Niemcy i w mniejszym stopniu Francja, Wielka Brytania i kilka innych krajów. Teoretycznie na przykład, 7-milionowa Szwajcaria mogłaby być w stanie i to z nawiązką pokryć zapotrzebowanie III RP na kapitał obcy. W 2002 r. bowiem wywiozła za granicę kapitał na sumę 180 mld dol. (jednocześnie przywożąc go na sumę 40 mld dol.), czyli o ponad 1/10 więcej, niż wynosił jej dochód narodowy. Polskie potrzeby na kapitał obcy,

wynoszące w stosunku rocznym nie mniej niż 10 mld dol., mogłyby zatem być z powodzeniem pokryte przez samą tylko Szwajcarię. W realnych warunkach jest to jednakże niemożliwe, gdyż wwożony przez III RP kapitał obcy musi w znacznym stopniu przybierać postać *bezzwrotnej* pomocy, a to w przypadku Szwajcarii jest wykluczone.

Spośród potencjalnych “dobrych wujków” zatem, realnym mogłyby być USA oraz Francja. Japonia bowiem nigdy Polską nie interesowała się jako potencjalnym obszarem swoich lokat kapitałowych, zwłaszcza mając pod bokiem tak atrakcyjny jak Chiny. Jednoczące się zaś Niemcy, mające perspektywy włożenia w b. NRD co najmniej 2 bilionów dolarów w ciągu niecałego pokolenia, dla podciągnięcia jej do poziomu zachodniej reszty kraju, nie za bardzo miały nadwyżki wolnego kapitału na lokowanie ich w III RP.

Dlaczego USA - o czym wspomiano już w innym miejscu - zrezygnowały zatem z zaangażowania się w przebudowę gospodarki III RP?

Jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie dać nie można.

USA, jeszcze w czasie II wojny światowej, udzielały olbrzymiej pomocy materialowej swoim sojusznikom. Po wojnie zaś w stosunku do niektórych (jak na przykład Wielkiej Brytanii) nadal to czyniły, dodając do nich jeszcze kraje przez siebie pokonane i okupowane, a nawet takie, aczkolwiek w ograniczonej skali, jak Polska. Potem jeszcze, na progu “zimnej wojny”, pomocą zaczęły obejmować także Turcję i kilka innych krajów, a od końca lat 1970-ch, na skalę już relatywnie ogromną, także Izrael oraz już znacznie mniejszą Egipt. Co się zaś tyczy pomocy dla krajów pokonanych i okupowanych, to na szczególną uwagę zasługuje Japonia.

USA, jeszcze w czasie wojny, przygotowały się starannie do jej okupowania, kształcąc setki ludzi w opanowaniu języka japońskiego i werbując różnego rodzaju fachowców dla “postawienia na nogi” pokonanego przeciwnika. Formalnie, co prawda, władze okupacyjne

Japonii składały się z przedstawicieli 11 krajów, ale faktycznie okupację sprawowały jedynie USA, w osobie jej pogromcy gen. Douglasa MacArthura (funkcję swoją pełnił do wybuchu wojny koreańskiej). Doskonały administrator i człowiek wolny od uczucia zemsty, mimo że spowodował stracenie 7-miu japońskich zbrodniarzy wojennych z premierem na czele (ale nie tknął cesarza Hirohito), MacArthur i jego doradcy, niezależnie od świadczenia przez USA pokonanemu krajowi pomocy w żywności i innych towarach, zabrali się za porządkowanie gospodarki. Za główne zadania uznali jej *usamodzielnienie* (stąd, niezależnie od niechętnego stosunku Japończyków do napływu amerykańskiego kapitału prywatnego, również władze okupacyjne praktycznie go zakazywały) oraz *techniczną* pomoc w celu podniesienia jakości towarów japońskich, mających przed wojną reputację tandetnych.

Oba zadania władze okupacyjne wykonały. Walnie pomógł im w tym wybuch wojny koreańskiej, gdyż USA zaczęły plasować wiele zamówień wojskowych w Japonii, powodując tym przyspieszenie wzrostu jej produkcji przemysłowej, tym razem, nie tak jak przed wojną, stojącej już na wysokim poziomie jakościowym.

USA zatem, kończąc 7-letnią okupację Japonii w 1952 r., nie tylko postawiły ją “na nogi”, ale stworzyły także podstawy pod jej wieloletni “cud gospodarczy”.

Przykład Japonii, rzecz jasna, nie mógł być powtórzony w III RP na przełomie lat 1980/1990 i w latach późniejszych.

cdn.

5 marca 2004 r.

15. Z deszczu pod rynnę.

O tym, że “wspólnota socjalistyczna” była dodatkiem do ZSRR, nie trzeba nikogo przekonywać. Ale faktem też było, że niezależnie od wspólnej polityki obronnej i zagranicznej, jej działalność, aczkolwiek niebotycznie sformalizowana i zbiurokratyzowana, była względnie rozwinięta na polu współpracy gospodarczej i naukowo-technicznej. Pogłębienie tej współpracy napotykało jednakże na olbrzymie przeszkody. Nikt bowiem nie miał jasnej koncepcji jak nie administracyjnymi metodami uruchomić “socjalistyczną integrację”. Efekt tego był zaś taki, że wszystkie strony (ZSRR i europejskie kraje RWPG) były niezadowolone z istniejącej współpracy gospodarczej w ramach “wspólnoty”, ale nikt też nie chciał dołożyć grosza do jej usprawnienia.

Tym niemniej, faktem było, że wzajemne powiązania gospodarcze w ramach “wspólnoty” dawały jej członkom pewien stopień stabilności. Działo się tak dlatego, że ZSRR był głównym dostawcą surowców i paliw do pozostałych jej członków, jak też głównym odbiorcą ich produktów przemysłowych (często niekonkurencyjnych na rynku światowym).

Po rozpadzie “wspólnoty socjalistycznej” i samego ZSRR, istniejący dotąd stan rzeczy nagle zniknął. Postawiło to kraje takie jak nowonarodzona III RP w obliczu szeregu dylematów, których nikt nie przewidywał i na które należało szybko znaleźć odpowiedź.

Kierownictwo państwowe III RP uznało w tej sytuacji, że jedynym rozsądnym wyjściem było dołączenie do Zachodu, a jakkonkretnie do tego doszło wspomiano już w innych częściach “Przyszłości Polski”.

Pozostawiając NATO na uboczu, na szczególną uwagę zasługuje decyzja III RP dołączenia do procesu integrowania się Europy Zachodniej, co przybrało postać najpierw stowarzyszenia z EWG, a następnie członkostwa w Unii Europejskiej.

W momencie podejmowania takiej decyzji, trzeba to obiektywnie przyznać, obraz sytuacji w integrującej się Europie, wtedy jeszcze “Dwunastki”, nie był zbyt jasny. Nie było bowiem pewne jak potoczy się dalszy proces zachodnioeuropejskiej integracji, która od 1994 r., po zamianie EWG na UE, rozszerzeniu się “Dwunastki” do “Piętnastki” i decyzji objęcia nią niektórych krajów b. “wspólnoty socjalistycznej”, przybrała kierunek ogólnoeuropejski (umownie nazwijmy go “unijnym”).

Ewolucji tej, w momencie składania wizyty przez premiera Tadeusza Mazowieckiego w Brukseli w lutym 1990 r., gdzie przedłożył wniosek o przyznanie III RP statusu członka stowarzyszonego EWG, nikt w Warszawie przewidzieć nie mógł. Mimo to, dołączanie III RP do “unijnej integracji” rozpoczęło się, a jej punktem kulminacyjnym będzie zbliżające się członkostwo w Unii Europejskiej.

Stwierdzenie, że ewolucji “unijnej integracji” nikt w III RP przewidzieć nie mógł, nie oznacza jednakże, że prób jej odgadnięcia nie należało czynić, zwłaszcza że jej słabe strony były znane od lat. W odgadywaniu “unijnej integracji” wielce pomocne powinny być doświadczenia “socjalistycznej integracji” sprzed 1989 r. Cokolwiek o niej bowiem nie powiedzieć, osią tego przedsięwzięcia był ZSRR, kraj wielki, zasobny w paliwa i surowce, a nade wszystko wojskowe supermocarstwo, rzecz ważna w dobie broni masowej zagłady.

W “unijnej integracji” analogii takiej nie ma. Osią jej są co prawda w znacznym stopniu Niemcy, ale nieporównywalnie mniej, niż to było z ZSRR w “socjalistycznej integracji”. Co więcej, nawet w przypadku zmaterializowania się idei “osi Paryż-Berlin”, nie zajmie ona

analogicznego miejsca. “Oś” ponadto, jeśli w ogóle powstanie, pozbawiona surowców i paliw, jak też nie mająca perspektyw na status wojskowego supermocarstwa, ma małe szanse.

Na tym daleko nie koniec piętrzących się przed “unijną integracją” problemów. Do niedawna nie były one, aż tak bardzo widoczne, ale teraz dają znać o sobie i nie jest wykluczone, że podważą proces tej integracji. Tym bardziej, że jego początki nastąpiły w *nienormalnych* okolicznościach. Pokonana bowiem w czasie II wojny światowej Francja (mimo zaliczenia jej do koalicyjnych zwycięzców), nie bardzo zdolna ułożyć swoje stosunki z USA i Wielką Brytanią, a jeszcze mniej z ZSRR, priorytetowego znaczenia nadała im w odniesieniu do Niemiec Zachodnich. Wymyślając najpierw Europejską Wspólnotę Węgla i Stali, a następnie Europejską Wspólnotę Gospodarczą, zapoczątkowała w ten sposób “proces integracji” kontynentalnej Europy Zachodniej (o integracji całej Europy wtedy nie myślała).

Za “proces” ten miały zapłacić Niemcy Zachodnie, a głównym jego beneficjentem miała być Francja (głównie jej rolnictwo). Tak pomyślana “integracja”, gdzie francuski wkład finansowy do niej był całymi latami średnio 25-krotnie mniejszy od zachodnioniemieckiego, spowodował jej *strukturalne* zwichnięcie, które może stać się kiedyś przyczyną jej fiaska.

Niemcy Zachodnie jednakże, rade z wyjścia na “wielkie wody” w powojennej Europie dzięki Francji, zgodziły się na tak niebezpiecznie wynaturzony kształt rzekomej integracji, licząc się zapewne z jego przejściowym charakterem. Tym bardziej, że w miarę upływu czasu nie bardzo potrzebowały “moralnej protekcji” Francji, za którą słono płaciły.

Tak też stało się i Niemcy Zachodnie, po wchłonięciu NRD już zjednoczone Niemcy, zaczynają mieć dość dawnego “integracyjnego układu”. Podciągnięcie b. NRD do poziomu b. Niemiec Zachodnich wymaga bowiem olbrzymich środków i pieniędzy, co powoduje, że zjednoczone Niemcy zaczynają ich nie mieć na subsydiowanie “unijnej integracji”, zwłaszcza że

z pierwotnej “Szóstki”, zaczęła ona rozrastać się do “Dziewiątki”, “Dwunastki”, “Piętnastki”, w roku bieżącym już “Dwudziestki Piątki”, a w trzy lata później do “Dwudziestki Siódemki”.

Rozrost “unijnej integracji” niepokoi też Francję, która coraz mniej z niej korzysta, choć nie tak jak Niemcy więcej z niej korzysta niż dopłaca, ale jej dopłaty są już nie 25-krotnie mniejsze od niemieckich, “tylko” 6-krotnie, z bliską perspektywą stania się przez nią netto płatnikiem. Stąd bierze się jej niechęć do dalszej “unijnej integracji”. A jeśli jeszcze Niemcy przestaną ją szczerze subsydiować, mając już dość dokładania do niej (tak jak dość tego mają Wielka Brytania, Holandia, Austria i Szwecja), to “unijna integracja” może się załamać.

W pewnym sensie więc obecna sytuacja w UE przypomina “socjalistyczną integrację”, gdzie ZSRR nie mógł już i nie chciał do niej dokładać, a nikt inny też nie mógł i nie chciał wziąć ten ciężar na siebie. Integracja regionalna *nie jest* bowiem strefą wolnego handlu, gdzie wszyscy jej uczestnicy są teoretycznie beneficjentami. W przypadku integracji ktoś *musi* do niej dokładać, a przynajmniej przez bardzo długi okres czasu.

Czyżby więc sytuacja, w obliczu której staje teraz III RP, dołączając do “unijnej integracji”, przypominała “socjalistyczną integrację” sprzed lat, w obliczu której stanęła PRL?

Jeśli tak, to Polacy uciekli z przysłowiowego deszczu pod rynną.

cdn.

16. Nadzieje i rzeczywistość.

W świetle wywodów w poprzedniej części, perspektywy kontynuowania “unijnej integracji”, nie mówiąc już o jej pomyślnym finale, którym powinno być wyrównanie poziomów rozwojowych krajów członkowskich UE, są co najmniej niepewne. I nawet nie dlatego, że integracji tej mogą nie towarzyszyć procesy scalania politycznego i wojskowego, w stopniu tak skromnym jak przewiduje to projekt unijnej Konstytucji, czy ze względu na możliwość przejścia pozostałych procesów integracyjnych na “2-3 szybkości”, ale z przyczyn bardziej obiektywnych.

Unia Europejska bowiem, obecna “Piętnastka”, na której wszechstronne wsparcie przystępująca do niej “Dziesiątka” (z Polską na czele) tak bardzo liczy, stanęła sama w obliczu tak licznych i skomplikowanych wyzwań, że nie bardzo wiadomo jak będzie wyglądać jej przyszłość, jeśli obecnie obserwowane trendy rozwojowe nie ulegną radykalnej zmianie na lepsze. Trendem najbardziej groźnym dla “Piętnastki” jest trend demograficzny. Jeśli przeciągnie się w przyszłość, to ludność “Piętnastki” zmniejszy się z obecnych ok. 380 mln do ok. 340 mln w 2050 r., a jej wiek przeciętny wzrośnie z 38 lat do 52 lat odpowiednio, co skomplikuje jej dalszy rozwój gospodarczy. Udział obecnej “Piętnastki” w produkcji światowej może w tym czasie, ze względu na niekorzystną strukturę wieku ludności, spaść z obecnych 18 procent do 10 procent. Dla porównania, jeśli obecnie obserwowane trendy w USA utrzymają się, to ludność ich porównywalnie zwiększy się z 292 mln do ok. 400 mln (nie tylko ze względu na wyższy niż w “Piętnastce” przyrost naturalny, ale także większą imigrację). W związku z tym ludność USA ulegnie zestarzeniu się w stopniu o wiele mniejszym niż ludność “Piętnastki”, z obecnej

przeciętnej 35 lat do 39 lat, a to powinno im pozwolić na utrzymanie obecnego udziału ok. 1/4 w produkcji światowej.

Gdyby istotnie było to prawdą, to w wolumenie produkcji USA mogą wówczas zdobyć prawie 2,5-krotną przewagę nad “Piętnastką”, wobec obecnie wyższej tylko o ok. 1/5.

Degradacja obecnej “Piętnastki” w produkcji światowej może być w rzeczywistości jeszcze bardziej dotkliwa, gdyby sprawdziły się prognozy w stosunku do Chin, że w latach 2041-2042 mogą wyjść przed USA jako pierwsze gospodarcze mocarstwo świata. Relegowanie w tej sytuacji “Piętnastki” z obecnej drugiej pozycji w produkcji światowej na trzecią, a może nawet czwartą, gdyby Indie wyszły na trzecią, byłoby dla niej ciosem o daleko idących skutkach.

Obecna “Piętnastka” wie o tym doskonale i stąd bez entuzjazmu patrzy na dołączanie do niej dziesiątki, a wkrótce dwunastki nowych członków, którzy niewiele jej pomogą w odwróceniu niekorzystnych dla niej długofalowych trendów rozwojowych. Potencjał demograficzny “Piętnastki”, co prawda, wzrośnie wtedy o ok. 1/4, co obecnie wcale jej nie cieszy ze względu na posiadane nadwyżki pracy, ale potencjał gospodarczy tylko o 3-4 procent. Demograficzny potencjał nowych przybyszy zresztą wykazują podobnie niekorzystną strukturę wieku ludności jak w “Piętnastce”, a więc pożytek z nich mały. Nowi przybysze nie mają też zasobów paliw płynnych i gazowych, ani innych cennych surowców w ilościach godnych uwagi. Niższe zaś koszty ich robocizny też nie są cennym wianem, które wnoszą do “Piętnastki”. Konkurować one mogą z jej własną robocizną, ale nie z chińską.

W sumie więc, korzyść z wiana żadna.

W przypadku sprawdzania się tych prognoz, “Piętnastka”, która w unijnej “Dwudziestce Piątej - Dwudziestce Siódemce” pozostanie zapewne wiodąca w dającej się przewidzieć przyszłości, będzie nowych przybyszy traktować jako przysłowiową kulę u nogi. I gdyby istotnie

tak było, to nadzieje III RP, że obecna “Piętnastka”, zwłaszcza jej najbardziej rozwinięci członkowie, wyciągną do niej pomocną rękę i podciągną ją do swojego poziomu, graniczą z pobożnymi życzeniami.

Niemcy, które spośród “Piętnastki” są potencjalnie do takiej pomocnej ręki najbardziej predystynowane, mają nie tylko masę rozwojowych kłopotów na dzień dzisiejszy, ale jeszcze więcej mogą ich mieć jutro. Ich ludność może zmniejszyć się z obecnych 82 mln dziś do 67 mln w 2050. Starzejący się kraj, którego zobowiązania socjalne wobec własnej ludności przekraczają dziś 2,7-krotnie jego dochód narodowy, czyniąc już teraz z nich fikcję, nie będzie przecież zawracał sobie głowy obcymi, skoro nie ma środków na godziwą opiekę nad swoimi! Zwłaszcza że zobowiązania socjalne w Niemczech, jeśli wszystko miałyby nadal iść po staremu, ulegną co najmniej podwojeniu, a może nawet potrojeniu do 2050 r.

Przykładów tego rodzaju można mnożyć bez końca.

Powyższe prognozy - dodajmy - oparte są o założenia, że wszystko inne w świecie będzie toczyć się mniej więcej normalnie.

A co będzie, jeśli toczyć się będzie nienormalnie?

Abstrahując od wojen, zwłaszcza III wojny światowej, która mogłaby być ostatnią w dziejach ludzkości czy jakichś kataklizmów spowodowanych przez Naturę, mogących wywrócić do góry nogami wszelkie prognozy, nie można przecież wykluczyć niezliczonej masy mniej spektakularnych wydarzeń, które razem wzięte mogą je nie mniej podważyć. Wyliczanie ich nie ma sensu, gdyż zarówno lista ich zabrałaby wiele miejsca, a i tak są one nie do przewidzenia.

Co najważniejsze jednak to fakt, że powszechny jeszcze do niedawna optymizm w świecie, zwłaszcza w krajach rozwiniętych, że ludzkość upora się z wyzwaniami przyszłości i że człowiek będzie miał się coraz lepiej, dziś jest już historią. Wśród Niemców, trzeciej

gospodarczo najpotężniejszej nacji w świecie, króluje pesymizm. Aż 70 procent z nich uważa, że ich dzieciom będzie żyć się gorzej od nich. Pesymizm zagląda również do USA, kraju dotąd słynnego z optymizmu. Blisko połowa Amerykanów, a według niektórych źródeł nawet ok. 70 procent, w poglądach na przyszłość nie różni się od Niemców.

Nadzieje III RP zatem, że wstępując do NATO i Unii Europejskiej, radykalnie zmieni na lepsze swoją przyszłość, mogą okazać się nadziejami bez pokrycia, gdyż czołowe w nich kraje nie bardzo mają w tym własny interes, a w każdym razie dalekie są od dopłacania do niego.

III RP, wbrew temu co opowiadał Bronisław Geremek, jej minister spraw zagranicznych w czasie kiedy wstępowała do NATO w marcu 1999 r., nie dobiła, niestety, do żadnej “bezpiecznej przystani”. Przeciwnie, znajdując się w jego szeregach wypłynęła na burzliwe morza, a ponadto dokłada jeszcze do swojej nieoczekiwanej podróży (sama tylko roczna jej składka członkowska wynosi ok. 100 mln dol.).

Odnosnie zaś wielkich nadziei na “odkucie się” III RP po przystąpieniu do Unii Europejskiej, to na razie pewna jest tylko jej roczna składka członkowska, wynosząca na razie ok. 2,5 mld euro, czyli ponad 3 mld dol.

A ile otrzyma w zamian - wkrótce się pokaże.

cdn.

7 marca 2004 r.

17 . Z własnej woli czy manipulowanej?

W świetle tego, co napisano już powyżej, nasuwa się nieodparcie konkluzja, że nowopowstała III RP, podejmując decyzję odnośnie swoich nowych powiązań zewnętrznych, takich jak przystąpienie do NATO i EWG/UE, podjęła je bądź bez głębszych przemyśleń bądź grała nie swoją grę. Jeśli nie swoją, to czyją? Zachodu, czy może Moskwy, która w tym czasie zmieniała swój kolor z czerwonego na biało-niebiesko-czerwony? .

Zachód, o czym już wspomniano częściowo w innych miejscach, choć dziś opowiada co innego, wydarzeniami we “wspólnocie socjalistycznej” i samym ZSRR był kompletnie zaskoczony i nie wiedział co robić. Francuski prezydent Mitterand w czerwcu 1989 r. zawitał do PRL nie bardzo wiadomo po co, a kiedy zaaranżowane przez Moskwę zjednoczenie Niemiec zaczęło się majaczyć na horyzoncie, raptem “przypomniał” sobie o istnieniu NRD, w której złożył nawet wizytę w grudniu 1989 r., po raz pierwszy w historii tego efemerycznego kraju.

Tak samo USA też nie wiedziały co robić. Prezydent Bush-senior zjechał w lipcu 1989 r. do przeżywającej ostatnie miesiące PRL, wdając się w ...godzenie “opozycji” z Jaruzelskim (który go wielce oczarował). A kiedy odwiedził Moskwę w lipcu 1991 r., to nie ukrywał zaniepokojenia grożącymi jedności ZSRR tendencjami odśrodkowymi!

Zachód, w każdym razie, zaskoczony wydarzeniami we “wspólnocie socjalistycznej”, reagując na nie w sposób absolutnie improwizowany i nieskoordynowany.

W rezultacie tego, inicjatywa należała do stolic “wyzwalającej” się środkowowschodniej Europy, Moskwy zmieniającej kolory oraz niektórych innych stolic b. radzieckich republik.

“Wyzwolona” Warszawa jak już wiemy, postanowiła po prostu przystąpić do Wspólnot Europejskich, jak zwano wówczas EWG, prekursora dzisiejszej UE, a także NATO.

Krok ten był zastanawiający, gdyż skoro III RP miała pełną swobodę w urzędowaniu polskiej państwowości, to należało nadać jej wyraźnie *neutralnego* charakteru, a nie wdawać się w różne blokowe więzy z nowymi partnerami, których prawdziwego stosunku do w pełni suwerennej Polski przecież nie znano. A w ogóle, powtarzając za częścią X, po co było to wszystko robić? NATO nie udzieliłoby przecież III RP żadnej zbrojnej pomocy w razie potrzeby, nie mówiąc już o tym, że taka potrzeba nawet teoretycznie wydawała się bezpodstawna. Po co bowiem Moskwa miałaby dawać Warszawie pełną suwerenność, żeby potem odbierać ją siłą?

Decyzja III RP o przystąpieniu do NATO *musiała* więc mieć jakiś nieznaną dotąd moskiewskiego chowu “strategiczny podtekst”, którego prawdziwego celu Warszawa nigdy nie знаła i nadal nie zna. W przeciwnym przypadku, sama nie wpadaby na taki pomysł. Wiedziała przecież, że od ottawskiej konferencji w lutym 1990 r., gdzie spotkali się przedstawiciele NATO i Układu Warszawskiego, Sojusz zapewnieniał, że nie tylko żadnych nieprzyjaznych uczuć wobec Paktu nie miał, ale także i o tym, iż nigdy nie rozszerzy się na wschód.

“Odezwa z Turnberry”, przyjęta na ministerialnym spotkaniu NATO w czerwcu 1990 r., “ottawskiego ducha” potwierdziła, a ponieważ od grudnia 1989 r., od wizyty radzieckiego ministra spraw zagranicznych Eduarda Szewardnadze w kwaterze Sojuszu w Brukseli, stosunki między obu wojskowymi blokami zaczęły stawać się autentycznie serdeczne, więc tym bardziej wzrosły szanse na pokój pomiędzy jeszcze do niedawna przeciwnymi sobie stronami.

Jeszcze raz więc można zapytać, a po co wobec tego III RP zaczęła pchać się do NATO, skoro z jego strony nie było wtedy *żadnej* zachęty do tego?

Podobnie nie było *żadnej* zachęty ze strony ówczesnej EWG do pukania do jej drzwi o członkostwo przez III RP i inne kraje. “wspólnoty socjalistycznej.

Powyższa sytuacja - jak to wspomiano w innym miejscu - zaczęła się zmieniać, tak w NATO jak i w EWG, dopiero w połowie 1993 r., ale też nie w zachęcającym te kraje stopniu.

Co się tyczy stosunków III RP z EWG/UE, to jakiś układ handlowy z tym ugrupowaniem, nawet typu stowarzyszonego członkostwa, aczkolwiek nie tak dla niej niekorzystny jak ten z 16 grudnia 1991 r., był niewątpliwie potrzebny. Ale to wszystko. Resztę należało pozostawić czasowi. Nowe państwo, jakim niewątpliwie stała się III RP, wymagało gruntownego *umocnienia* swoich struktur, żeby w razie zdecydowania się na akcesję do zachodnioeuropejskiego ugrupowania integracyjnego, obecnie zwanego “unijnym”, być odpowiednio przygotowanym do sprostania różnym wyzwaniom. W przeciwnym wypadku, słabym strukturom państwowym III RP groziło śmiertelne niebezpieczeństwem w zderzeniu się z unijnymi “ponadnarodowymi strukturami”.

Identycznie miały się sprawy z członkostwem III RP w NATO.

Wiadomo było przecież, skoro NATO nie zamierzało się rozpaść po zniknięciu Układu Warszawskiego i ZSRR, a podpisując Kartę Paryską w maju 1997 r. z Rosją zaczęło wchodzić z nią w partnerskie stosunki, że “strategiczna panorama” w Europie zacznie się zmieniać. Stąd pchanie się III RP do Sojuszu zaczęło wyglądać jako krok wręcz podejrzany. Tym bardziej, o czym III RP wiedziała, w grudniu 1996 r. narodził się w Pentagonie pomysł stworzenia NRCC, “*NATO-Russia Contingency Command*”, natowsko-rosyjskiego dowództwa, reagującego na różne wydarzenia zagrażające pokojowi regionalnemu i światowemu. Moskwa, co prawda, nie zareagowała na tego rodzaju ideę, ale też jej nie odrzuciła.

I czy znowu w tej nowej sytuacji III RP musiała się śpieszyć z akcesją do NATO? Nie mogła poczekać co wyjdzie z dialogu na linii Waszyngton-Moskwa?

Chyba, że Moskwa widziała sprawy inaczej i Warszawa *musiała* postąpić, jak postąpiła.

Przechodząc teraz do członkostwa w Unii Europejskiej, to podejście do niego ze strony III RP od początku nabrało charakteru “buchalteryjnego”, a *nie* politycznego. Zresztą, nawet ten “buchalteryjny” typ podejścia przybrał postać “pobożnych życzeń”, nie mających nic wspólnego z twardymi realiami. Unię Europejską wyobrażano sobie bowiem jako “dobrą ciocię”, która bezinteresownie nakarmi i odzieje “małego Lesia”, a on jeszcze będzie się dąsał i psocił!

Tymczasem zaś, jeśli III RP liczyła na jakieś wymierne korzyści z akcesji do UE, to powinna była przedtem *politycznie* przygotować do niej grunt. Nie należało wyklócać się o takie czy inne dotacje dla polskiego rolnictwa, ale poważnie porozmawiać z Niemcami, czy *zobowiążą się* w określonym wymiarze i czasie wziąć III RP “na garnuszek”. Szanse na takie zobowiązanie ze strony Niemiec, niezależnie już od kosztów wchłaniania b. NRD, byłyby najprawdopodobniej żadne ze znanych względów politycznych, ale rozmowy takie należało przeprowadzić.

W przypadku ich negatywnego finału, III RP *nie powinna* przystępować do Unii Europejskiej.

Niestety, ze względów niezbyt jasnych, postanowiła postąpić inaczej.

I czy aby tylko z własnej woli, czy manipulowanej?

cdn.

8 marca 2004 r.

18. Co by było, gdyby było...

Przyszłość Polski, choć niewątpliwie w znacznym stopniu uzależniona od niej samej, w stopniu jednak *decydującym* uzależniona jest od czynników zewnętrznych. Tak dzieje się już co najmniej od 300 lat i *nic* nie wskazuje na to, że cokolwiek zmieniło się to 1989 r. i że zmieni się w najbliższym czasie. Przeciwnie, jeśli Polska ugrzęźnie w Unii Europejskiej i NATO, wyzwalając się jednocześnie od dyskretnej, ale skutecznej kontroli Rosji, to o jej dalszej przyszłości decydować będą wyłącznie *obce* ośrodki władzy. Jeśli jednak spod tej dyskretnej kontroli nie wyrwie się, to wtedy wystąpi z NATO i UE i dostanie się pod otwartą kontrolę Rosji, jako członek WNP, czy jakichś innych tworów, które ona powoła do życia.

Pełna suwerenność i neutralność Polski zatem, jest *niemożliwa* w jej geopolitycznym położeniu, obciążonym w dodatku historycznym bagażem, który przyłgnął do jej pleców i którego własnymi siłami nie jest w stanie się pozbyć. Zwłaszcza że jest wysoce wątpliwe czy rządzące III RP elity rzeczywiście chcą tego. Co najwyżej, mogą próbować wybierać między taką czy inną “zewnętrzną opieką”, ale i tutaj wybór ich jest ograniczony. W dobie broni masowej zagady, supermocarstw, globalizmu (nowej odmiany imperializmu), “wojen prewencyjnych” i “wyprzedzających uderzeń”, pełna suwerenność i neutralność państw słabych, a takim jest Polska, stała się więc anachronizmem.

Co jednakże, kiedy w drugiej połowie 1989 r. PRL zaczęła przemieniać się w III RP i kiedy zaczęto wmawiać sobie i światu (z wyjątkiem ZSRR, który wiedział jak z tym było naprawdę), można było zrobić, żeby udowodnić uzyskanie pełnej suwerenności?

III RP mogła wystąpić z Układu Warszawskiego i RWPG, ale jak wiadomo bynajmniej nie zamierzała z nich występować, dokąd z woli ZSRR same się nie rozpadły. Prawda, coś tam na forum UW przebąkiwała o “równych prawach” jego członków, a na forum RWPG domagała się rozliczeń wolnodewizowych (akurat nierozsądnie), ale to wszystko. W pierwszym przypadku ZSRR puszczał jej głos koło ucha, a w drugim Gorbaczow, bez pytania się o zdanie RWPG, dekretem prezydenckim wprowadził te rozliczenia w życie (z negatywnymi dla III RP skutkami).

Dwustronnego “układu sojuszniczego” z ZSRR z kwietnia 1945 r. III RP również nie wypowiedziała, Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej, nadal stacjonującej na jej terytorium nie wyprosiła, gdyż nie mogła, dokąd same nie wyszły, a o porwaniu snutej dziesiątkami lat przez KGB, GRU, a nawet MWD, “tajnej pajęczyny” lepiej już nie mówić. Udawano, że jej po prostu nie było!

Inaczej zresztą nie mogło nawet być. “Okrągły stół” nie po to był, żeby do czegoś takiego mogło dojść. Przez ponad rok po jego ustaleniach przecież, Jaruzelski, pierwszy prezydent III RP, wraz z ministrami obrony narodowej oraz spraw wewnętrznych, Siwickim i Kiszczakiem, mieli nad wszystkim pieczę. A kiedy już odeszli, to miejsca ich zajęli ludzie, których do tej roli starannie “podchowaly” peerelowskie i radzieckie służby specjalne.

Waszyngton, Londyn, Paryż i Bonn albo tego wszystkiego nie widzieli, albo nie chcieli widzieć. Nie widział tego też polski papież, podobnie jak Kościół, a ludzie, zachłyśnięci dokonywanymi zmianami, wkrótce także zaabsorbowani nieoczekiwanym biciem ich po kieszeni, co innego mieli na głowie niż dociekanie jak to istotnie było z tymi zmianami.

Formalnie zresztą, wszystko szło jak trzeba. Demokracja, częściowo już obecna w wyborach parlamentarnych w czerwcu 1989 r., rozkwitła w pełni po jesiennych wyborach

prezydenckich w 1990 r. i parlamentarnych w 1991 r., PZPR zniknęła, a partii politycznych było teraz bez liku i nareszcie było w kim wybierać.

Wolny rynek, marzenie większości chyba Polaków, indywidualnych chłopów, rzemiosła i zwłaszcza drobnej wytwórczości, robił zawrotną karierę, a że tylko nieliczni wychodzili na tym dobrze - jeszcze jakoś do ludzi w pełni nie dotarło.

ZSRR, co więcej, rozpadł się, czyli Zachód triumfował, a będąc Polakom wdzięczny za “obalenie komunizmu”, jak to plótł Wałęsa, hojnie ich teraz za to wynagrodzi! Byle tylko przejął zbałaganioną gospodarkę w swoje ręce i uzdrowił ją jak trzeba. “*Panowie wiedzą przecież co robią*” - naiwnie wierzono. Jeśli jeszcze przyjmą Polaków do NATO i rodzącej się Unii Europejskiej na miejscu EWG, to żyć, a nie umierać!

Ba, naiwna wiara w cuda jakby nawet zaczęła się sprawdzać, kiedy to po głębokim załamaniu się gospodarki na skutek “planu Balcerowicza”, znacznie opóźnione i słabsze od spodziewanego, nadeszło odbicie się od dna. III RP ochrzczono wtedy “tygrysem Europy”, na wzór dalekowschodnich tygrysów w Azji.

W takiej aurze najlepiej było nic nie robić, gdyż wszystko zrobi się przecież samo! Tak przecież nawet głosili ministrowie Tadeusz Syryjczyk i Aleksander Paszyński w rządzie Mazowieckiego, zapewniając każdego, że “niewidzialna ręka rynku” wszystko uładzi, a jeśli niezupełnie, to tym gorzej dla tych, którzy jej w tym przeszkadzają.

I jak tu można było cokolwiek nad czymś się zastanawiać i próbować wymyśleć coś bardziej mądrego w kraju zadłużonym po uszy, z olbrzymim nawisem inflacyjnym, z przerostami w zatrudnieniu, z marną jakościowo i drogą produkcją?

A zresztą, kto miał myśleć? Ci z dawnej władzy nie cieszyli się zaufaniem, a zresztą nie myśleniem się zajęli, ale urządzaniem się w nowych warunkach, co gwoli historycznej prawdy czynili z godną podziwu energią i sprytem.

Opozycja, zakładając jej autentyczność, do rządzenia krajem na znanych jej dotąd tylko ze słyszenia zasadach, nie tylko nie nadawała się, ale często nie mogła się przebić przez dawne i nowotworzone układy. Życie kraju ponadto szybko uległo kryminalizacji, ze zorganizowanymi gangami, nierzadko o podejrzanych kontaktach tak ze służbami specjalnymi III RP, jak i krajów WNP. Na koniec, wszędzie i w nieznaną dotąd skali, eksplodowała korupcja.

Czy tak musiało się stać?

Teoretycznie, nie musiało. Gdyby na miejscu rozwiązywanej w styczniu 1990 r. PZPR nie narodziła się SdRP, za radzieckie jeszcze wtedy pieniądze, następnie ZSL nie przedzierzgnęłoby się cudownie w PSL, a z szeregów "Solidarności" wyłoniłaby się autentyczna i masowa partia "wszystkich Polaków", a *nie* takie potworki jak Porozumienie Centrum, a potem Unia Demokratyczna i kilkanaście innych "gniotów", które zaczęły wzajemnie zwalczać się, to sprawy mogły potoczyć się inaczej. Może też potoczyłyby się inaczej, gdyby pierwszym "solidarnościowym" premierem nie został Mazowiecki, a prezydentem Wałęsa.

Tak jednak nie stało się i III RP, od chwili swoich narodzin nie żegluję, ale dryfuje i końca tego nie widać..

cdn.

9 marca 2004 r.

19. Smetne perspektywy.

Pozostawiając na uboczu rozważania “co by było, gdyby było”, Polska, od końca 1989 r. zwana III RP, weszła w XXI stulecie w warunkach nietypowych w jej ponad tysiącletniej historii. W XI stulecie Polska Chrobrego wchodziła jako młode, prężne i w pełni suwerenne państwo. W XXI stulecie III RP wchodzi ledwie posuwając się do przodu, a nade wszystko z perspektywą *utraty* pełnej suwerenności. Jeśli tylko naprawdę ją posiada. Jak bowiem tłumaczyć wydarzenie z końca czerwca 2003 r., kiedy to rosyjski prezydent Putin wzywa nagle Kwaśniewskiego, prezydenta jakoby suwerennego kraju, w dodatku członka NATO i na progu członkostwa w Unii Europejskiej, dla wspólnej obserwacji manewrów Floty Bałtyckiej, zwracając się jeszcze do niego głośno po imieniu, żeby to korespondenci słyszeli? Tego nie było nawet za czasów PRL. Przywódców jej nie wzywano na manewry radzieckich sił zbrojnych, choć byli sojusznikami, a nie natowskimi przeciwnikami Rosji, jak teraz jest z Kwaśniewskim, ani też publicznie ich nie “tykano”. A może Putin nie uważa “Saszy” - jak go tytułował - za przeciwnika? W końcu przecież ojciec jego, jak to mówiono i coś niecoś pisano w III RP kilkanaście lat temu, był oficerem NKWD lub NKGB w rodzącej się PRL. Syn jego wychował się w ZMS i PZPR, był ministrem w rządzie Rakowskiego, a potem z Millerem, za radzieckie pieniądze utworzył SdRP, kiedy PZPR zwijała żagle. Coś tam jeszcze szeptano o kontaktach “Olka” z wywiadem radziecko-rosyjskim, ale wkrótce wszystko dziwnie ucichło...

Sytuacja III RP jest więc paradoksalna. Nie wyzwoliła się jeszcze z zależności od Rosji (jeśli tylko tego naprawdę chciała), a już popadła w “służbową zależność” od NATO i wkrótce popadnie w jeszcze większą zależność od Unii Europejskiej.

I dzieje się to wszystko w czasie, co gorsza, kiedy III RP, tak jak to było pod koniec I RP, “nierządem stoi”!

W rzeczywistości jest jeszcze gorzej. Wówczas przynajmniej, 60 procentom młodych Polaków, nie tak jak dziś, nie marzył się wyjazd z kraju.

Jak zatem Polacy mają patrzeć na swoją przyszłość i co tak naprawdę mają oni do powiedzenia na jej temat? Ale co tam przyszłość, a co mają oni do powiedzenia na temat teraźniejszości? Czy ktoś ich pytał czy powinni służyć w Afganistanie albo czy “Grom” powinien brać udział w agresji przeciwko Irakowi i czy “polska dywizja” powinna go okupować? Opinia publiczna była prawie w 3/4 przeciwna tym awanturom i co z tego? Co dziwniejsze, polskie brzękanie szabelką, podłechtane przez USA, poparła jeszcze Rosja!

Czyżby interesy obu supermocarstw liczyły się u władz III RP więcej niż głos jej obywateli, którzy jeszcze płacą za to wszystko?

Co się tyczy splotu obcych interesów w III RP, to aż gęsto od nich. W gospodarce, w czym jej władze nie bardzo się nawet orientują, króluje zachodni kapitał (w tym spekulacyjny), a dzielnie wspomaga go...rosyjski kapitał. Grasują po niej jeszcze gangi rosyjskie i innych WNP-owskich krajów, powiązane w dodatku z “tajną pajęczyną”. Pomagają im w tym ich polscy pobratymcy, powiązani z kolei z rodzimymi służbami specjalnymi.

I jak w tej sytuacji można mówić o pełnej suwerenności III RP?

Rezultat tego jest zaś taki, że na tej zatrutej glebie kwitnie system mafijno-korupcyjny, który głęboko sięgnął wszystkich ogniw władzy i wszystkich partii politycznych.

W powojennych Włoszech - ktoś powie - bardzo długo też tak było. Istotnie, ale Włochy, mimo niemal permanentnego kryzysu rządowego, przynajmniej rozwijały się burzliwie, zrównując się w dochodach na głowę z Francją, Niemcami i Wielką Brytanią.

Z III RP sprawy mają się jednakże zupełnie inaczej. W klasyfikacji europejskiej ledwie wybijają się ona ponad poziom ubóstwa, za który uważa się 7 tys. dol. na głowę mieszkańca, w rozwoju zaś prawie utknęła na martwym punkcie, mimo ostatnio pewnego ożywienia w przemyśle i eksporcie, choć nie wiadomo na jak długo. Bezrobocie dochodzi do 21 procent, czyli 3,3 mln Polaków chodzi bez pracy (z możliwością zwiększenia się tej liczby), 70 procent rodzin żyje w niedostatku, z czego część w skrajnej biedzie, a 1/4 dzieci jest niedożywiona.

Najgorsze jednakże, że władze i politycy III RP, a nawet ekonomiści, nie mają pomysłu jak pchnąć kraj na drogę dynamicznego i trwałego rozwoju, który zlikwidowałby bezrobocie i jeszcze w ciągu jednego pokolenia doprowadził go do poziomu krajów rozwiniętych. Szans na masowy przyływ kapitałów obcych nie widać, gdyż ostatnio do krajów takich jak III RP, *“emerging markets”*, znacznie on spadł i nadal spada, a rodzimego wielkiego kapitału jak nie było tak nie ma. O wspomnianych zaś *“dobrych wujkach”*, lepiej zapomnieć. Niemcy, w myśl *“Agendy Schrödera”*, rozpoczęli już bezlitosne cięcia wydatków budżetowych, a mając 4,5 mln bezrobotnych, nie będą sobie żadnymi Polakami zawracać głowy (podobnie jak wszyscy inni).

A może NATO poratuje Polaków? Skądże, na razie bierze od nich. Roczna składka członkowska wynosi ok. 100 mln dol., a III RP płaci jeszcze za amerykańskie i jego wojska w Iraku i Afganistanie. Ba, NATO ma jeszcze pretensje, że III RP za mało wydaje na zbrojenia!

A może Polakom kapnie coś Unia Europejska? Oj, niech lepiej uważają, żeby ich jeszcze nie oskubała. Przecież nie są *“zachodniakami”* jak Hiszpanie, Irlandczycy, Grecy i Portugalczycy, którym EWG/UE sówicie pomagała i nadal pomaga. Polakom też mogłaby pomóc, otwierając im swój rynek pracy, ale na to nie zanoszą się, gdyż gnębi ją własne bezrobocie, a ponadto Polacy, wbrew ich własnym mniemaniom, nie cieszą się jej sympatią.

Polacy muszą więc liczyć na *własne* siły. Ratunkiem jest postęp naukowo-techniczny, ale *jak* to ma stać się, skoro wydatki na ten cel wahają się w III RP w granicach 0,5 proc. dochodu narodowego, podczas gdy w krajach rozwiniętych wynoszą one odpowiednio 2-3 procent. A ponieważ ich dochód narodowy na głowę mieszkańca jest średnio 3-krotnie wyższy niż w III RP, to różnica w wydatkach na tym odcinku jest jeszcze większa. III RP, co gorsza, bezmyślnie zlikwidowała nawet ten skromny spadek po PRL, jaki był w "wysokiej technologii", wyrzucając ok. 200 tys. pracujących w niej kadr na bruk! Nic dziwnego więc, że tylko 5 proc. jej eksportu stanowią produkty tej technologii. A tak prawdę mówiąc, to największą klęską Polski w minionym stuleciu była klęska na froncie naukowo-technicznym. Polskich produktów, robiących furorę na rynku światowym, nie ma, a jeśli są, to pochodzą z filii obcego kapitału.

Jak odrobić to zapóźnienie? Własnymi siłami Polacy *niewiele* zdziałają, a na chętnych w dopomożeniu im w dognaniu "pociągu postępu naukowo-technicznego" nie mają co liczyć. W produkcji zaś standartowych dóbr, Polak *nie wytrzyma* konkurencji z Chińczykiem.

Polak nie ma też co liczyć na odkrycie bogatych złóż ropy naftowej i innych surowców, na cudowną przemianę lichych gleb w czarnoziem, czy zarobek na milionach turystów.

Smętne to więc perspektywy.

cdn.

20. Końcowe refleksje.

Smętne perspektywy rozwojowe III RP nie są niczym wyjątkowym w dzisiejszym świecie. Identyczne, a nawet jeszcze mniej pocieszające, czekają wiele innych krajów, jeśli nie ich większość. Minęły bowiem czasy, kiedy rozwojowe prognozy w świecie tchnęły optymizmem. Dziś coraz częściej podnoszą się głosy, że dalszy rozwój świata jest niepewny i że jeżeli ludzkość chce nadal egzystować, to musi ograniczyć swoje potrzeby, żeby nie natrafić na barierę podaży dóbr naturalnych oraz ekologiczną. Oczywiście, nie brakuje też optymistycznych głosów, pokładających wiarę w moc sprawczą postępu naukowo-technicznego. Ale i wtedy, nie tak jak to bywało dawniej, nie odmalowują one przyszłości w różowych kolorach.

Wszystkie rozwojowe prognozy pomijają ponadto “nadzwyczajne wydarzenia”, takie jak katastrofy naturalne i wojny, które mogą pokrzyżować wszelkie wyobrażenia o przyszłości.

Nie spekulując jak może być z “nadzwyczajnymi wydarzeniami”, o których ostatnio rozprawia się coraz częściej i alarmistycznie, same tylko “zwyczajne wydarzenia” są niezwykle trudne do przewidzenia (jeśli w ogóle możliwe). Zwłaszcza w odniesieniu do takiego kraju jak III RP. Nie można bowiem sobie wyobrazić w *jaki* sposób mogłaby ona zrównać się w ciągu jednego pokolenia swoim poziomem rozwojowym z poziomem obecnej Piętnastki unijnej. O

10-procentowym tempie rozwoju w tym okresie *nie może* przecież marzyć, a niższe przeciągnie zrównanie się poziomów na następne pokolenie, jeśli nie dalej. Z punktu widzenia społeczno-gospodarczego i politycznego, taka perspektywa *nie może* więc wchodzić w grę. Ale co można zrobić w sytuacji ogromnego bezrobocia, szybko rosnącego zadłużenia tak wewnętrznego jak i zewnętrznego, olbrzymiego deficytu budżetowego i niepokojąco wysokiego ujemnego bilansu

handlowego, niedostatecznego napływu kapitału oraz rachitycznego postępu naukowo-technicznego? Na domiar złego Polacy wymierają, system opieki zdrowotnej załamał się, a korupcja i przestępczość szaleją.

I żeby na tym był koniec. Gdyby jeszcze istniały w III RP jakieś odpowiedzialne i sprawnie działające siły polityczne, które mogłyby zmobilizować naród do wytężonego wysiłku na rzecz wszechstronnego awansu kraju, to możnaby mieć nadzieję, że odbije się ona od dna i ruszy do przodu.

O scenie politycznej III RP, niestety, aż trudno poważnie mówić, gdyż swoim rozgardiaszem przeszła wszelkie wyobrażenia, nie stwarzając perspektywy na *jakąkolwiek* pozytywną zmianę. Chyba że podejmie się tego dzieła p. Jolanta Kwaśniewska, w chwili obecnej osoba o *największych* szansach na kolejnego prezydenta III RP. Smutne i żenujące.

Mówiąc jednak serio, przyszłość III RP musi wywoływać nie tylko najwyższy niepokój, ale poszukiwanie rozwiązań, które stawiałyby czoła wyzwaniom XXI stulecia.

Punktem wyjściowym do takich poszukiwań musi być przede wszystkim *precyzyjne* określenie stopnia suwerenności III RP. Nie jest przecież obojętne, czy jest ona pełna i czy Polacy sami decydują o swojej przyszłości czy czyni to ktoś inny za nich. A jeśli ktoś inny, to z kolei *nie jest* obojętne, czy czyni to otwarcie czy z ukrycia.

Członkostwo III RP w NATO i Unii Europejskiej jest niewątpliwie *ograniczeniem* jej pełnej suwerenności. Jeśli jednak ograniczenia takie przyjęła *dobrowolnie* i ma nad nimi ścisłą pieczę, to nie ma w tym żadnej tragedii, zwłaszcza gdy dobrze służą jej żywotnym interesom.

Co innego jednak, jeśli ograniczenia pełnej suwerenności III RP miałyby *niejawny* charakter, jak to ma miejsce w jej stosunkach z Rosją. O tym, że nie wszystko jest w tej dziedzinie jasne, wspominało już powyżej. Ale bodajże najbardziej widowym tego dowodem

(aczkolwiek daleko nie dla wszystkich Polaków), jest przykład zmarłego w zeszłym miesiącu płk. Ryszarda Kuklińskiego. Agent GRU, radzieckiego wywiadu wojskowego, został podniesiony dzięki władzom III RP, które nie chcą ujawnić prawdy odnośnie jego osoby, do rangi polskiego bohatera narodowego! Czynią to z własnej woli czy z polecenia Moskwy? W przypadku tego ostatniego, pełna suwerenność III RP, jak też dokonane w niej ustrojowe przemiany, są wówczas *pozbawione* wiarygodności!

Gdyby istotnie było to prawdą (osobiście nie mam co do tego wątpliwości), to rozprawianie o przyszłości Polski *mija się* z celem. Ktoś inny bowiem, a nie Polacy, będzie o niej decydował. Fasady “zewnętrznego modelu”, zbudowane przez III RP, jak więzy członkowskie z NATO i UE, okazałyby się wtedy, że nie były jej pomysłu, a w konsekwencji tego niechybnie runęłyby. Czy zaś coś innego, w zinstytucjonalizowanej formie, powstałoby wówczas na ich miejscu, byłoby decydowane nie przez Polaków.

W dziejach Polski w ostatnich ponad trzech stuleciach *decydującą* rolę odegrała różnie nazywana się w różnych okresach Rosja. Ona doprowadziła do rozbiorów I RP, ona dzięki przegranej w I wojnie światowej, umożliwiła narodzenie się II RP i ona, wtedy bolszewicka, dołożyła ręki do jej zniknięcia, a następnie stworzyła jak chciała PRL. Z powodów do dziś niejasnych, rozmontowała jednak PRL, a na jej miejsce stworzyła III RP. A jak długo i w jakiej postaci będzie teraz istnieć, znów będzie zależeć od Rosji.

I co Polacy mogliby wtedy działać, żeby temu zapobiec? Kto też mógłby im w tym pomóc?

No cóż, są to pytania *bez* odpowiedzi.

Jeśli bowiem wydarzenia we “wspólnocie socjalistycznej” i samym ZSRR z końca lat 1980-ch i początku lat 1990-ch były wynikiem *strategicznych* decyzji Moskwy, chcącej uścić

czujność USA i innych krajów NATO, jak też przekonać się o ich intencjach wobec niej, to najprawdopodobniej cel swój osiągnęła. Pozostaje teraz tylko kwestią *jakie* stąd wyciągnęła wnioski. Jeśli zdecydowała się na konfrontację z USA i innymi krajami NATO (a “przy okazji” z Chinami, mimo formalnie sojuszniczych z nimi stosunków), to jest bardzo możliwe, że jest ona *bliżej* niż dalej. Wymierająca, osaczona, rozpadająca się, chorowita, rozpita i biedna Rosja, ma niewiele do stracenia. Będąc nadal wojskowym supermocarstwem, prawdopodobnie większym od wszystkich krajów świata razem wziętych, może zdecydować się na uderzenie znienacka, a mając antyrakietową obronę - pokonać swoich prawdziwych i domniemyanych wrogów.

W przypadku jednak, gdyby Kreml nie zdecydował się na taki desperacki krok, to wtedy może pokusić się o *otwartą* już kontrolę (ukrytej nigdy nie utracił) nad swoim stanem posiadania z radzieckich czasów, w którym Polska zajmowała ważne miejsce.

Przyszłość Polski zależy zatem od *decyzji* Rosji. Nie po raz pierwszy w historii.

Dlatego też rozprawianie o przyszłości Polski, bez brania pod uwagę skrajnego, ale takiego właśnie biegu wydarzeń, nie tylko graniczy z brakiem wyobraźni, ale także przeczy historycznym doświadczeniom.

K O N I E C